Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 11. Lipca 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 28.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

II.

Futory.

Jest do podniesienia a oraz i do postawienia kwestja jedna, dotykana zlekka niekiedy przez powieściopisarzy i poetów, ale pomijana całkiem przez badaczów przeszłości tej Rusi, co złączywszy losy swoje z losami Polski, pozostawała przez ciąg wieków pod ustawiczną napaści tatarskiej grozą. Jestto kwestja »*futorów*.« Dla znacznej czytelników naszych liczby sam wyraz *futor* jest wyrazem obcym. Co on właściwie oznacza? Co wyraża? W znakomitej pracy swojej pod tytułem: »*Zdobycze Pługa*,« *K. Szajnocha* miał sposobność rozpisać się o nim szeroko — nie uczynił jednak tego; w »*Zapiskach o Południowej Rusi*,« wydanych przez *P. A. Kulisza*, była także sposobność po temu i także opuszczoną została. Futor uchodzi za coś na kształt willi chłopskiej, lub też folwarku odosobnionego, posiadającego znaczenie nieokreślone, bynajmniej jednak nie historyczne.

Zachodzi ważne jedno pytanie. Jakim sposobem Ruś Południowa po spustoszeniach, jakie ją, na wielkie szczególnie rozmiary, raz w początkach wieku XV, drugi raz w połowie wieku XVII dotknęły, zaludniła się i zakwitła na nowo, i to w krótkim bardzo stosunkowo czasie? I Szajnocha i Kulisz odpowiedź na pytanie to znajdują w kolonizacji, dokonywanej przez szlachtę polską, która, przesiedlając się z Wielko i z Mało-Polski, w części sprowadzała rolników za sobą, w części zwabiała lud rolny na tak zwane »słobody.« Że się kolonizacje odbywały, to najmniejszej nie podlega wątpliwości, równie jak i zwabianie ludu. Ale środek pierwszy nie dochodził rozmiarów, potrzebnych do zaludnienia krainy tak obszernej, jak na prawym brzegu Dniepru Ukraina; środek zaś drugi stanowił właściwie nie zaludnianie, ale przeciąganie ludności z jednego punktu na drugi. Nad tym ostatnim zastanawiać się niema potrzeby, dla oczewistości onego; co się zaś pierwszego tyczy, to zauważyć należy, że kolonizacja na wielką skalę sprowadziłby musiała w nieodzownem następstwie swojem zmodyfikowanie pewne żywiołu miejscowego żywiołem napływowym, jeżeli już nie zupełne Ukraińców na Mazurów przerobienie. Stało się to jednak na odwrót. Po koloniach, które dziś jeszcze wyśledzić się dają, Mazury przerobili się na Ukraińców, coby nastąpić nie mogło bez przewagi żywiołu miejscowego pod względem liczebnym, pod tym względem, który istnieć nie mógł inaczej, jak tylko za pomocą przechowywania się ludności miejscowej na przekór zniszczeniom. Gdyby przechowywanie się ono miejsca nie miało, toby jej, rzecz prosta, nie było i miejsce onej zajęliby koloniści, wnosząc swój język, swoje zwyczaje i obyczaje. Tymczasem koloniści, we względzie tym, nie wnieśli nic. Ludność rolna zachowała w czystości właściwe sobie cechy rodowe i zamrowiła się w gnieździe swojem. Zkądże to poszło? Nam się zdaje, że właśnie z futorów owych, które w czasach obecnych znikać poczynają już powoli; w dawniejszych zaś (w niebardzo nawet dawnych, w takich, w które sięgają wspomnienia nasze osobiste) stanowiły zawiązek osady większej. na specjalnej mapie *Szubertta*, sporządzonej pomiędzy latami 1850 a 1860, oznaczone są futory, nie wszystkie jednak; pomimo to wschodnia gubernii Podolskiej połowa i południowa gubernii Kijowskiej część są niemi literalnie zasypane. Dawniej było tego więcej jeszcze; w epoce zaś, do której opowiadanie się nasze odnosi, futory, w odniesieniu do osad wiejskich, pełniły funkcją rezerwoarów, do których w momentach nacisków najezdniczych, ludność odpływała, pozostając w nich tak długo, aż nawała zniszczenie niosąca przeszła. Nie podajemy tego za przyczynę odrastania zaludnienia jedyną. Działała ona do spółki z kolonizacją; utrzymywać jednak ośmielamy się, iż była od tej ostatniej ważniejszą i skuteczniejszą, jako taka więc zasługuje na zaznaczenie historyczne. Futor w życiu narodu odegrał rolę wcale nie podrzędną. Przechował on naród w tym sensie, w jakim fundusz żelazny przechowuje kapitał, wystawiony na zmienność fortuny. Ile razy Rusi przeddnieprskiej zagroziło zniszczenie, wnet usuwała się do futoru, kurczyła się niby jeż, udawała nieżywą, po przejściu zaś zawieruchy wynurzała się znów na świat, ze wszystkiemi do składu jej wchodzącemi żywiołami.

Futory zakładano na ustroniu: gdzie istniały trzęsawiska, po trzęsawiskach; gdzie rozlegały się stepy, po jarach, zaroślach, wyżłobieniach gruntu, albo też i w czystem polu w oddaleniu od osad ludniejszych. Miejscowość atoli, która im najbardziej sprzyjała, był las, przedstawiający tę dogodność, że w odniesieniu do najazdów tatarskich, stanowił przeszkodę naturalną. Tatarzy wypadali konno. Jazda traci w lesie obrotność. Przytem musieli się spieszyć, zwłaszcza gdy w niewielkiej znajdowali się liczbie; w większej zaś musieli się spieszyć także, a to w tym celu, ażeby ubiedz ludniejsze wsie i miasta, w których spodziewali się zdobycz ydonioślejszej. Przedmiotem marzeń ich i snów złotych był

Lwów, służący za główną wytyczną dla wypraw wielkich, na czele których stawali hanowie w osobie własnej. Wyprawy takie atoli przedsiębrały się w razach wyjątkowych: bądź gdy Turcja, wydawszy Polsce wojnę, nakazała hordzie spółdziałanie, bądź też gdy domowa w Lechistanie wojna podawała jej sposobność obłowu, obfitego a łatwego. Sposobność taką przedstawiały wojny kozackie, które się nagle wylały były na Polskę za podniesieniem szluzy przez Bogdana Chmielnickiego. Tak jednak, czy owak, w liczbie małej czy wielkiej, Tatarzy nie mieli ani czasu, ani racji do odszukiwania przytulisk ludzkich, rozsypanych pojedyńczo po oczeretach, po stepach, zwłaszcza zaś po lasach, w których pod względem doniosłości obłowu zachodziła dla napastników wątpliwość, pod względem jednak bezpieczeństwa nie było pewności najmniejszej, co do wyjścia z karkiem nieskręconym.

Na ostrowy dnieprowe zbiegali się ochotnicy bojowi, duchy niespokojne, miłośnicy *mandrówek* dalekich i przygód nadzwyczajnych; futor przeciwnie służył za schronienie pierwiastkom spokoju i pracy, był wyrazem przywiązania do ogniska domowego, do ziemi rodzinnej, do *swoij storony*. Pierwsze narobiły hałasu wielkiego, zrobiły sobie dziejową reklamę — historja też zajmuje się niemi z ochotą. Około drugiego panuje cisza na polu badań dziejowych; ten i ów raczy zaledwie wspomnieć o nim od niechcenia, bez względu na to, że, jeżeli nie on wyłącznie przechował życie narodu, to do przechowania takowego przyczynił się potężnie. Ruś południowa ocalała, dzięki futorom. One ją odpiastowały niejako na nowo.

Powiedzieliśmy wyżej, że miejscowości lesiste sprzyjały im najbardziej.

W takiej miejscowości właśnie leżał futor imćpana Macieja Małuskiego.

Ukrywał się on w rozdole, dającym początek łożysku rzeczki Sawranki.

Sawranka ma dwa źródła — jedno bije w jarze, w którym się rozłożyła wioska zwana niegdyś Rozbójną, obecnie zaś podobno Czarnominem, drugie w jarze, w którym się tuli wioska Rybki. Odległość pomiędzy źródłami nie wynosi więcej jak wiorst dziesięć i w odległości tej trzymają się rzeczułki obie na przestrzeni mniej więcej mil sześciu, aż zbiegają się i zbogacone wodami przytoków, zasilających je ze strony prawej i lewej, płyną razem drugich mil sześć jeszcze, spływając się nareszcie z wodami Bohu. Źródła te, równie jak sąsiadujące z niemi blizko od południa źródło rzeczki Kodymy, wyciekają z wyżyny, służącej za dział wodny względem przytoków, czepiających się Dniestru z jednej, Bohu z drugiej strony. Niedalej jak o wiorst parę od bohskich Sawranek i Kodymy wypływają dniestrowe Biłocz i Mołokisz. Pierwsze w biegu swoim kierują się od zachodu na wschód, drugie od północy na południe. Kierunki te determinują kierunek jarów, plączących się w iście labiryntową gmatwaninę, tem do rozpoznania się w niej trudniejszą, na stoku zwłaszcza bohskim, że lasami okrytą. Dla tego też, Sawranki obie służyły niegdyś za przytulisko dla licznych futorów, położonych tuż obok szlaku Kuczmańskiego, przechodzącego grzbietem działu wodnego. Część szlaku tego wsławiona czynami Szpaka, o którym w dalszym opowiadania naszego ciągu mowa, zwała się szlakiem Szpakowym.

Sawranki przebiegają krainę, której się słusznie należy nazwa mlekiem i miodem płynącej. Stanowi ona część północną Pobereża i odznacza się posiadaniem wszystkiego, co człowiekowi do życia potrzeba: gleba żyzna, lasów dostatek, wody obfite — to też w chwili obecnej widzimy porzecze to literalnie wsiami zasiane, i to wsiami nielada, takiemi jak Łuh, Werbka na ramieniu północnem, Popowa Grobla, Stratijówka, Lubomirka na południowem, Demówka u zbiegu obydwóch Sawranek, dalej Pużajków, Konceba i inne. Z wsi tych żadna nie posiada mniej jak chat dwieście, a w niektórych naliczyć się da trzysta z górą. Sród nich, na ramieniu wyższem, rozsiadły i miasteczka: Czeczelnik, Olhopol, Piszczana i Sawrań — to ostatnie u ujścia Sawranki do Bohu. W epoce, do której się opowiadanie nasze odnosi, były one ufortyfikowane i w załogi zaopatrzone; niektóre otaczał wał, inne posiadały zamki obronne. Pochodziło to ztąd, że ponieważ porzecze sawrańskie przedstawiało dla Tatrów ponęt dużo, przeto radzi tędy zagon czynili. Stronili jednak od murów i okopów, a nawet i od ostrokołów, jakiemi się ogradzały dwory szlacheckie. W nabiegach swoich, ciągnąc szlakiem Kuczmańskim, omijali linię obronną, trzymali się działu wodnego, zachowując czucie ku bezleśnym dniestrowego porzecza okolicom. Z powrotem zwłaszcza chodziło im o jaknajszybsze przemknięcie się mimo Czeczelnika, Olhopola, Sawrania i położonego niżej nad Bohem Hołoskowa, zkąd nad obarczonym czambułem wisiała groza utraty zdobyczy. Pospieszali ku Dzikim Polom; a że pospiech im był trudnym, więc się wywijali jak piskorze, *kłuczyli*, wysyłali podjazdy silne, udające zamiary zdobywcze, dywersjami się osłaniali i pomykali, pędząc przed sobą trzody, wlokąc na łykach jeńców i dźwigając łupy, częścią w trokach, częścią jednak i na wozach, otaczając się ostrożnością jaknajwyszukańszą i rozwijając czujność jaknajwiększą.

W roku 1674 wkroczenie Jana Sobieskiego na Ukrainę spłoszyło czambuły, które odgrywając rolę sprzymierzeńców Doroszenki, swobodnie sobie buszowały po kraju, tem bardziej, że opierały się o armię turecką, która w czasie owym uważała siebie za panią Podola i Ukrainy, ustąpionych sułtanowi przez zmarłego króla (traktat buczacki) Michała Korybuta. Panowanie to było jednak nominalne. Potrzeba było zawojować Podole i Ukrainę. W tym celu wtargnęła ogromna armja turecka, zdobyła Ładyżyn i Humań, których mieszkańców w pień wycięła i na wieść o pochodzie Sobieskiego, cofnęła się pospiesznie na prawy brzeg Dniestru. Czambuły, własnemu pozostawione przemysłowi, znalazły się jak kurczęta bez kokoszy. Chodziło im o dwie rzeczy: o wynagrodzenie zmarnowanego na udawaniu przymierza z Doroszenkiem czasu i narabowanie ile się da najwięcej, i o uniesienie w całości głów na karku przed nadbiegającemi chorągwiami hussarzy, pancernych, dragonii, piatyhorców i kozaków, które naraz wszystkiemi podążały traktami, plączącemi się pomiędzy Dnieprem a Dniestrem. Trudno było pogodzić dwie te rzeczy. Tatarzy jednak, dzięki ogromnej w napastnictwie wprawie, godzili je. Uchodzili szczęśliwie przed hussarzami i pancernymi, tak, że Sobieski w listach do Marysieńki uskarżał się na ich szybkość i, jeżeli się zachwytywać dawali, to tylko albo chorągwiom piatyhorskim, kreacji Chmielewskiego, albo też trzymającym z Polską na przekor Doroszence setniom kozackim, pozostającym pod zwierzchniem dowództwem zamianowanego świeżo przez króla hetmana, Ostapa Hohola. Ci dopadali ich tu i owdzie i jassyr odbijali.

Z odbijaniem jassyru rzecz nie szła gładko. Tatarzy, którzy nie sieli ani orali, a spuszczali się całkowicie na plon ostrzem szabli zdobyty, zapamiętale zdobyczy bronili. Nie dosyć było rozbić ich. Rozbity czambuł, gdy nie widział sposobu uprowadzenia jeńców, mordował ich i po dokonaniu morderstwa rzucał się w rozsypkę, w której ścigać należało jeźdźców pojedyńczych, w przegony z wiatrami idących. Nie prowadziło to do niczego. Na stu pojmać się dawał jeden zaledwie. Reszta unosiła się na lotnych bachmatach, pozostawiając kupę trupów w ręku zwycięzców. Jeńcy przeto służyli im poniekąd jako zakładnicy. Należało więc atakować ich w sposób taki, ażeby nie dać im czasu na dokonanie morderstwa. Do tego potrzebną była specjalna umiejętność wojenna, której się nabywało na drodze doświadczenia. Posiadali ją kozacy nie wszyscy; z polskich zaś wodzów Chmielecki pierwszy umiał sobie z Tatarami poczynać i stworzył szkołę, której reguły zasadnicze polegały na szybkości krytych ruchów i na nagłości napadu. Najniebezpieczniej było atakować ich na noclegu. W atakach tego rodzaju na pewne jeńcy ofiarą padali.

Z tego to powodu komenda, o której Jurek mówił, wytropiwszy czambuł tatarski i na oku go mając w miejscu, w którem on się na noc rozłożył, atakować go nie śmiała.

Komenda owa składała się całkowicie z lekkiej jazdy, pozostającej pod dowództwem pułkownika, szlachcica z pod Krakowa, który, pomimo że chlebem żołnierskim od maleńka się żywił i nakarbowanych miał ze Szwedem, z Moskwą, z Turkami, z Kozakami i z Tatarami bitew niemało, pierwszy jednak raz w życiu znalazł się na Pobereżu. Nieznana miejscowość zaambarasowała go. Do Dzikich Pól było niedaleko. Tatarom pozostawało jeno przemknąć się mimo źródeł Sawranek i Kodymy, ażeby wydostać się na przestwór, zapewniający im bezkarność. Przytem była ich siła niemała, koni z górą dwa tysiące — należało obawiać się, ażeby, wydostawszy się w okolice otwarte, nie wysłali

jassyru przodem pod przykryciem jeźdźców kilkuset, przyzostając w sile dostatecznej do odparcia pościgu, który wynosił nie więcej, jak setni sześć. Znalazł się więc pułkownik w kłopocie i w kłopocie tym szukać musiał porady u sotników i rotmistrzów. Jeden z tych ostatnich przypomniał sobie, że posiada w chorągwi swojej towarzysza z okolicy tutejszej.

— Jak mu na imię? — zapytał pułkownik.

— Jerzy Małuski...

— Roztropny?...

— Tak sobie... niczego... na tumana nie wygląda...

— Czy... aby... potrafi komendę przeprowadzić w sposób taki, ażeby z nienacka na Tatarów wyskoczyła?...

— Należy go rozpytać o to...

Przywołany Jerzy bardzo się pułkownikowi roztropnym wydał, a to tem bardziej, że się przyznał otwarcie, iż nie potrafiłby przeprowadzić jak należy.

— Potrafię jednak zaradzić... — dodał.

— No?... — zapytał pułkownik.

— U nas na futorze powinienby być dziad, co się zaklął przeciwko kozakowaniu...

— Cóż więc?...

— Owóż dziad ten zna lasy i przechody na pamięć... Gdybym z nim pogadał...

— A dalekoć to ten futor wasz?

— Nie tak to daleko... mil ze trzy...

Rozmowa powyższa miała miejsce we wigilję dnia, w którym nastąpiło znalezienie nieznajomej przez jegomościa. Komenda nazajutrz, maszerując na jednej z czambułem wysokości, pomknęła do lasów rozbójeńskich i tam się zatrzymała na polanie. Jurek ruszył sam jeden; dojeżdżając spotkał ojca, matkę, siostrę (jejmość, którą imieniem Elżbiety nazywał, była to siostra jego), dziada, grono całe robotników i posłużył za tragarza chorej. Przybycie jego sprawiło radość ogromną; prędki odjazd rzucił cień smutku, na kobiety zwłaszcza, szczególnie zaś na ową staruszkę siwą, która w dłonie klasnąwszy, ręce do góry wzniosła i zawołała:

— Jezus, Marja!... Toć się tobą, dziecko moje, nacieszyć się nawet nie można!...

— Nie ma co... — odrzekł jegomość — gdzie o rzecz publiczną idzie, tam nie masz syna, ani wnuka...

— Niechby przenocował przynajmniej... wytchnął trochę!...

— Wytchnąć wytchnę... — odpowiedział Jurek — póki Ostap sobie konia nie osiodła... Przez ten czas i mój kasztan przygarści kilka siana uchwyci i ja przekąszę, jeżeli jest co...

Kobiety się wnet około wieczerzy zawinęły i niebawem, świecąc łuczywem, czyli tak w stronach tych zwanemi »skałkami», nakryły stół i postawiły na takowym misę klusek, skwarkami okraszonych. Do misy tej przypuściło szturm osób dziesięć. Kluski wnet znikły. Po kluskach wystąpiły na stół ser i bochenek chleba czarnego. Biesiadnicy, tak przystępując do spożywania darów bożych jakoteż po zakończeniu jedzenia żegnali się, jedni od ramienia lewego ku prawemu, drudzy od prawego ku lewemu, i milczeli. Po zakończeniu tej skromnej uczty dopiero, jegomość, usta utarłszy i wąsy rozgładziwszy, zapytał syna:

— Cóż kasztan... dobrze służy?...

— O, jak jeszcze!... — była młodego człowieka odpowiedź.

— Grunt... w nogach pewny... Nie utyka?...

— Nigdy...

— Krótka pęcina... piersi duże i zad szeroki... o... A jakże tam król jegomość?...

— Bije Turków...

— O, niech bije... byle nie daremnie... U króla grunt... głowa pewna... Sobieski, słyszę, w naukach się polerował, jeżeli mu przeto Bóg dał dowcip i przemyślność, to może też z niego doczekamy się pociechy lepszej, jak z Jana Kazimierza i z Michała Korybuta...

— Dałby to Pan Bóg i Matka przenajświętsza... — westchnęła pani Maciejowa.

— Już bo też i czas nakoniec, ażeby ten kraj wczasu zażył...

—Przepełniła się miara kary bożej!...— dodała jejmość.

— Ha!... samiśmy winni sobie... — zauważył jegomość. Stało się nam, jak temu gospodarzowi, co uprawił rolę i posiał na niej żyto, aż tu przychodzi wędrowiec i prosi: pozwól mi, człowieku dobry, zasiać na roli twojej rzepę... Pozwolił i... co być miało i żyto i rzepa, nie było, ani żyta, ani rzepy... Licho nam nadało ojców jezuitów do gospodarzenia w kraju przypuszczać... Z nich nieszczęście całe poszło i jeżeli król jegomość nie wymiecie z nich chaty, to...

— Król jegomość — przerwał młody człowiek — trzyma przy boku swoim za spowiednika ojca jezuitę...

— Ha!... — westchnął z przyciskiem szlachcic stary i ręką machnął. Dziej się, Panie, wola twoja...

Byłby jegomość coś jeszcze prawił, gdyby nie Ostap, który wszedł do izby i ku Jurkowi głową skinął:

— Gotowiście, dziadu?... — zapytał ten ostatni.

— *Zo wsim* i od dawna... — odrzekł zapytany. Dałem kasztanowi twemu obroku i ztąd zabawa poszła... Mamy jednak czas, byle komenda nie zmarudziła... No... bywajcie zdrowi, jegomość, jejmość i kompania cała... — zakończył tonem humoru dobrego.

— Bywajcie zdrowi, babuniu, tatku, mamo... — podchwycił młody człowiek, przytulając się kolejno do staruszki, do starej jejmości, do jegomości, w końcu i do pani Elżbiety.

Pożegnanie trwało krótko. Każde z rodziny krzyżyk mu na czole palcem nakreśliło i każde go opiece bożej poleciło. W chwilę później ojciec, matka, babka i siostra przeprowadzili rycerza przez sień ciemną i jeszcze mu słowa błogosławieństwa słali, gdy on już na koń wsiadał. Podwórko zalegała ciemność. Pomimo to jegomość poznał konia, na którego się gramolił stary Ostap i zapytał:

— Czemuż nie wziąłeś karego?...

— Dla tego, że kary płochliwy, a kłapoucha nie zlęknie się ani czarta samego...

— Nie wymawiaj, Ostapie, imienia nieczystego na noc... — zauważyła pani Maciejowa. Niech was Bóg prowadzi — dodała głosem uroczystym — niech aniołowie pańscy rozpostrzą nad wami skrzydła opieki swojej...

I żegnała wielkim krzyżem zniknionych w ciemności jeźdźców.

Znikli już; ucichł po nich tentent kopyt końskich: staruszka, jegomość, jejmość i pani Elżbieta jeszcze stali. Kobiety oczy sobie obcierały. I staliby Bóg wie jak długo, gdyby nie następująca jegomości uwaga:

— Bóg nam w dom gościa spowadził...

Z powodu zajęcia się Jurkiem, którego po długiem, od wiosny trwającem niewidzeniu, witano i żegnano zarazem, zapomniano o chorej nieznajomej. Nie można się dziwić temu. Było to, z całą rzeczy świadomością poczęte, zapomnienie chwilowe, które każde sobie w następujący motywowało sposób: chora spoczynku potrzebuje, niechże spoczywa, póki Jurek nie odjedzie. Nie było to więc zapomnienie zupełne. To ostatnie nastąpiło w chwili, kiedy Jurek i Ostap utonęli w ciemnościach nocnych. Gdy przeto jegomość przypomniał, niewiasty, wszystkie trzy razem, jednym odezwały się głosem:

— Ach! prawda!...

I wróciły do izby — i pani Maciejowa, zatrzymując giestem matkę i córkę, weszła sama na palcach do alkierza, gdzie chora spoczywała. Po chwili wyszła.

— Cóż?... — zapytała jej staruszka i pani Elżbieta.

— Spi snem głębokim...

— Chwała Bogu!... — rzekła matka — sen ją pokrzepi...

— Przykładałam jej dłoń do czoła... pała, a tętna biją mocno i prędko...

— Gorączka... Trzeba jej do nóg synopizmy przyłożyć i przyrządzić napój chłodzący z soku berberysowego...

Pomimo pory spóźnionej, pomimo znużenia robocizną całodzienną, niewiasty zajęły się wnet przysposobieniem doradzonych przez staruszkę leków. W pół niespełna godziny uśpiona chora miała już nogi obłożone i starannie okryte. Obok niej stanął kuflik z napojem. Po dopełnieniu tego światła pogasły, z wyjątkiem alkierza, w którym w kącie, postawiona na talerzu wodą napełnionym mrugała lampka olejna, rzucająca blady blask, sięgający półświatłem do łoża, na którem, z ustami wpółotwartemi, dysząc krótko a mocno, spoczywała młoda kobieta. Delikatne nozdrza jej rozdymały się, chwytając powietrze. Na bladem jej klasycznie ukształtowanem obliczu rysowały się żyłki błękitne. Długie rzęsy rzucały cień na policzki. Pierś wzdymała się pod lekką osłoną, którą na nią pani Maciejowa rzuciła. Cień, co na nią padał, wydawał się cieniem skrzydeł anioła stróża, który ją opieką osłonił, albowiem to, że się ona w chwili tej pod dachem znajdowała, przypisaćby

*

można cudownemu wpływowi sił owych tajemniczych, którym fantazja ludzka nadaje kształty takie lub inne i przyznaje znaczenie, posiadające przywilej gwałcenia, bądź na korzyść, bądź też na szkodę człowieczą, praw natury. Według praw tych chora powinna była w burzanach pozostać i tam skonać w osamotnieniu. I byłoby to nastąpić musiało, gdyby nie... anioł stróż, który ją powierzył ludziom litościwym.

Czuwano nad nią pod dachem futoru Małuckiego przez noc całą. Co godzina prawie, jedna z kobiet podchodziła do łoża, przykładała dłoń do jej czoła i nastawiała ucho na jej oddech. Chora spała ciągiem jednym, i zdawało się, jakby zapadała w sen coraz to głębszy, w miarę, jak oddychanie jej stawało się coraz to swobodniejszem. Widocznem było umniejszanie się gorączki. Dzień wreszcie zaświtał; ona spała jeszcze, pomimo że rodzina i czeladź cała na nogach już była, pomimo, że do gwaru, jaki sprawiało krzątanie się osób tylu, dołączał się niekiedy okrzyk wydawany przez jednego z trojga dzieci, którym napróżno pani Elżbieta spokojne zachowywanie się zalecała. Chora wciąż spała. Blade jej lica zafarbował rumieniec cieniem różanym, który twarz jej dziwnie piękną czynił. Kobiety spoglądały na nią zdaleka, z tą czcią, jaką piękność wzbudza.

Rodzina pana Macieja, jak zwykle, tak i w dniu tym powinna była pójść na pole, w celu zbierania padalicznego zboża. Nie poszła jednak. Zatrzymało ją w domu ciągnięcie czambułu tatarskiego, poprzedzającego się zazwyczaj rekonnensansami, gęsto wysyłanemi w pobliżu lasów mianowicie. Nie próżnowano wszakże na futorze. Potrzeba przysposobienia zapasów na zimę, wprawiała w ruch domowników wszystkich, z wyjątkiem dzieci nieletnich. Stępy stukały, żarna wydawały szum głuchy; kobiet parę łuszczyło groch, inne przetrząsały proso, ażeby je wiatr przewiewał i od zatęchnienia bronił. Jegomość strugał klepki pod szopą. Dziad stał z widłami na stogu siana i wierzch onego szpiczastym czynił. W robocie wszystkich razem i każdego z osobna znać było ową mrówczą zapobiegliwość, co to w rachunek bierze ziarenko, włókienko każde. Nie dziw. W niemożności uprawiania roli, ciągnąć należało środki do życia z tego, co natura bez pomocy ludzkiej produkowała. To też, z wyjątkiem prosa, grochu, hreczki i warzyw, zasiewanych ukradkowo, bądź przy domu, bądź środ burzanów, wszystko zresztą, co pracownicy składali na strychu, w spichrzu, w zasiekach, na gumnie, było produktem lasów i pól okolicznych. Znajdowała się też po składach rozmaitych obfitość niemała orzechów laskowych, owoców suszonych, grzybów różnego rodzaju. Oddzielnie zsypane żołędzie miały na uwadze zimowlę trzody chlewnej. Siano na polanach i łąkach koszone przeznaczonem było dla koni i bydła. Od krów, w faskach i dzieżkach, które fabrykował jegomoś przy pomocy dziadów, składano masło i ser. Na bantach wędzono mięso, które ogarniał dym, wychodzący nie przez komin — komina wzgląd na bezpieczeństwo nie pozwalał wyprowadzać nad dachem — a rozchodzący się pod strzechą i wymykający się na zewnątrz pod postacią obłoku mglistego. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA PIERWSZA.

B O Ń C Z A.

(Ciąg dalszy.)

III.

Treść: Zygmunt Chmieliński — Oksiński — charakter Bończy — pobyt w Chrobrzu — bitwa pod wsią Góry — śmierć Bończy — Dzianott — utarczka Chmielińskiego pod Janowem — oddział Bończy w obozie Chmielińskiego.

W ciągłych marszach po Krakowskiem, Opoczyńskiem i Rawskiem, doczekaliśmy się czerwca, nie będąc nigdzie zaczepiani. W Gniewocinie, około Wodzisławia, przybył do naszego obozu Zygmunt Chmieliński, oficer moskiewskiej artylerji i przyprowadził ze sobą 40 ludzi dobrze uzbrojonych i należycie umundurowanych. Oddał takowych pod komendę Bończy, a sam udał się w okolice Złotego Potoka dla organizowania piechoty. Nie zwróciliśmy wtedy wielkiej uwagi na człowieka, któren swoją odwagą, prawdziwie partyzancką przebiegłością i stałością charakteru, należał do najznakomitszych dowódców powstania i potrafił niedługo zwrócić na siebie uwagę tak całego kraju jak i nieprzyjaciół.

Oddział nasz liczył z nowo złączonymi około 300 ludzi. Z Gniewocina ruszyliśmy z powrotem w Opoczyńskie i w Olesznie, majętności p. marszałka szlachty Niemojewskiego, ze zliśmy się z oddziałem Oksińskiego, liczącym 400 piechoty i 150 koni. Oksiński proponował połączenie się, lecz Bończa wymówił się osobną instrukcją, daną mu przez Rząd Narodowy, i niezwłocznie wyruszyliśmy dalej. W oddziale Oksińskiego, ocalonym z pod Koniecpola, znajdowało się wielu oficerów zagranicznych wojsk, jak Lacroix, Lüttich, Bogusławski, którzy przyszli szukać tu karjery, lecz rychło się rozczarowali. Oksiński był człowiek młody, liczący może 25 lat. Gwałtowność jego i popędliwość nieraz beztaktowna, czyniła go niepopularnym tak w obozie, jak i okolicy, zbytnie wymagania, przechodzące możność obywateli, były często powodem różnych nieporozumień i niechęci. Mógł być dobrym żołnierzem, ale nigdy dowódzcą osobnego oddziału, od którego nie tyle osobista odwaga jest wymaganą, ile takt, przezorność i pewna umiejętność w postępowaniu, przymioty niezbędne, jeżeli chciano niecić poszanowanie w obozie i sympatję za obozem. Oksiński właśnie nie był w tych warunkach i niedługo też rozpadł się, jak to niżej zobaczymy.

Bezczynne to włóczenie się po kraju, już nam potrosze zaczęło się przykrzyć, nie jeden rwał się do walki serdecznie, żądając nowości, chociaż czas ten właściwie nie był straconym. Codzienne mustry i ćwiczenia z bronią, czyniły istotny pożytek, nadawały pozór regularnego wojska i dawały gwarancję, że w potrzebie jakoś to się nie rozleci od pierwszego wystrzału; ale i z tem wszystkiem na bezczynność naszą podnosiły się w różnych miejscach sarkania mieszkańców, odzywających się nieraz wręcz, żeśmy nie po to przyszli, aby się bawić w wojsko, dla pustej igraszki, ale dla tego, żeby się bić i krajowi oddawać przysługę. Przytaczali nam, że w innych stronach, jak ich dochodzą wieści, dowódzcy powstańczych oddziałów, nie kryją się, ale szukają nieprzyjaciela i odnoszą zwycięstwa. Wiadomości te, obałamucające ludność do wysokiego stopnia zwycięstwami powstańców, były najbezzasadniejsze i nieraz ani krzty prawdy w nich nie było. W maju powstańcy nie kusili się, jak w pierwszych początkach napadać na Moskali, ale ograniczali się na unikaniu i osobistej obronie, lecz ponieważ człowiek oczekujący czegoś z utęsknieniem, gotów jest zawsze prędzej uwierzyć dobremu jak złemu, tak też i tutaj. Wszelkim wieściom przesadzonym do potęgi i nieprawdopodobnym wierzono ślepo, nie przypuszczając w nich fałszu i nieprawdy. Biuletyny zaś Rządu Narodowego, podtrzymujące ducha narodu, ogłaszaniem ciągłych zwycięstw i tryumfów powstańców, przyczyniły się nie mało do ogólnego obałamucenia, i nic dziwnego, że ludzie krócej widzący, napełnieni temi przekonaniami, oczekiwali i żądali od nas również walk i zwycięztw.

Nie wiem, czy zawstydzające nas sarkania i wymówki obywatelstwa, czy smutne przeczucia, czy też inne przyczyny wpłynęły na usposobienie i humor naszego dowódzcy, dosyć, że spostrzegliśmy w nim od paru tygodni wielką zmianę. Nigdy wprawdzie nie był on zbyt ożywiony i wesół, lecz trafiały się jednakże chwile, że stawał się rozmowniejszy, a niekiedy i uśmiech przemknął mu się pod czarnym wąsem. W ostatnich czasach, to jest w początkach czerwca, był jakby przybity, obojętny na wszystko i widocznie czemś straszliwie znękany. Można go było śmiało posądzić, że byłby rad z zakończenia powstańczej karjery, choćby w najniefortunniejszy sposób. To zniechęcenie czy też troska moralna, przechodziła bardzo często w przykre obejście, lub też apatyczną zadumę, przedłużającą się godzinami. Humor dowódzcy oddziałał i na podkomendnych, i w stanie, jakby ciężkiej żałoby, wyruszyliśmy dnia 13. czerwca z Rusanowa, kierując się w Krakowskie. W drodze, złączył się z naszym oddziałem zbiegły z Opoczak, kozak, nazwiskiem Lotkin i piechur, którego nazwiska nie pamiętam. Z początku Bończa wahał się z przyjęciem, obawiając się zdrady, lecz szczerość spowiedzi, z której dowiedział się o przyczynach znaglających ich do dezercji, mianowicie pobicie oficera, dawało mu dostateczna rękojmię bezpieczeństwa z ich strony, i rzeczywiście kozak Lotkin służył najwierniej do końca powstania, przechodząc z oddziału do oddziału, narażając się na największe niebezpieczeństwa i zabrany raz do niewoli z oddziału Chmielińskiego, zdołał po raz drugi umknąć z Piotrkowa. Był to człowiek prosty, którym niepowodowało żadne przekonanie, a jedynie uważał obóz powstańców jako pewny przytułek przed oczekującą go karą, dobre przytem życie, obfitość wódki i większa swoboda, nęciła go i przywiązywała dostatecznie.

Dnia 14. przybyliśmy forsownym marszem,

idąc dniem i nocą, do Pradeł pod Zarkami, a ztąd wyruszyliśmy do Chrobrza, rezydencji Wielopolskiego. Mieliśmy tu dniówkę, zastaliśmy pyszny pałac przez oddział Langiewicza obdarty i zniszczony zupełnie, szyby powybijane, meble porąbane, obrazy drogocenne poniszczone. Smutny przedstawiała widok ta rezydencja magnacka, obdarta i odrapana, a smutniejsze jeszcze było przekonanie o ludziach, którzy w swej zemście dopuścili się tego wandalskiego czynu. Dla czego? sami zapewne nie potrafiliby sobie zdać z tego sprawy, ot, poprostu że ktoś krzyknął: Wielopolski, łotr, zdrajca! Z Chrobrza, udaliśmy się do Pińczowa, witani przez miejscową ludność z zapałem i podejmowani aż zanadto gościnnie, wystawiono bowiem na rynek beczki z winem, celem ufetowania nas prawdziwie po staropolsku; lecz niewczesną tę ochotę i rankor przerwał dany rozkaz dowódzcy do niezwłocznego wymarszu. Bończa chciał uniknąć nieporządku, który z pewnością by się zakradł do jego szeregów, przy poczęstunku gościnnych mieszkańców. Tutaj dopiero dowiedzieliśmy się, że Bończa odebrał przed paru dniami rozkaz czy wezwanie, ażeby stawił się na granicy, gdzie miał się połączyć z oddziałem piechoty Jordana wkraczającym z Galicji. Zmierzaliśmy przeto ku Igołomni czy Michałowicom, i wyszedłszy z Pinczowa przybyliśmy do Jeżyc, gdzie mieliśmy dniówkę, a w nocy o 12. wyruszyliśmy do wsi Góry, majętności p. Dembińskiego. Było to d. 15. czerwca — jechaliśmy stępa, jak zwykle w marszach i nad ranem, może o godz. 3. wyjeżdżając z lasu, spostrzegliśmy upragnioną stację, wieś Góry. Byliśmy niezmiernie strudzeni forsownemi marszami, jakie odbywaliśmy od kilku dni zawsze nocami — literalnie spaliśmy na koniach. Bończa od wyjazdu z Pińczowa był niezdrów i jechał na wozie w tyle oddziału. Naraz wybiega do nas jakiś wieśniak z lasu i ostrzega, że Moskale są w Górach i że przyaresztowali przybyłych tam naszych kurjerów. Usłyszawszy to Bończa kazał sobie podać konia i rozgorączkowany, nie rozpytawszy się należycie wieśniaka, jak dużo jest nieprzyjaciela, jakiej broni, ustawił nas plutonami i zakomenderował do ataku — i pierwszy puścił się na pokazujących się w tej chwili kilkudziesięciu kozaków. Ruszyliśmy z kopyta mając przed sobą Bończę, może na jakie sto kroków, waląc prosto do wsi. Bończa jak szalony, nie obejrzawszy się nawet na oddział, wpadł w środek kozaków i po krótkiej utarczce, nim zdążyliśmy nadbiedz, został w naszych oczach kilkunastu cięciami zwalony z konia. Zwarliśmy się z kozactwem, które po chwili zaczęło pierzchać ku wsi, wprowadzając nas na ukrytą i rozstawioną po rowach i zabudowaniach piechotę, która nas przyjęła rzęsistym ogniem. Oczywiście, po takiem przywitaniu szeregi nasze zaczęły się chwiać, mięszać i rozsypywać, każden bujał po polu bez planu i instynktownie oddalając się od niebezpieczeństwa coraz bardziej. Brak dowódzcy i rozkazów spowodował odrazu nieporządek, który pod ogniem piechoty prażącej nas potężnie i dosyć blizko, musiał się zamienić w kompletną ucieczkę. Odcinając się w rejteradzie dojeżdżającym kozakom, zdołaliśmy podnieść z ziemi rannego Bończę i kilku towarzyszy i unieść ich z pola, bitwy.

Odsunąwszy się od piechoty o parę wiorst rotmistrz Dzianott, zdołał przyprowadzić nas do pewnego porządku i prześladowani rzadkiemi strzałami uwijających się za nami w pewnej odległości kozaków, weszliśmy do lasu rozgraniczającego wieś Lubnczę od Gór. Mieliśmy serdeczną ochotę rzucić się na nich, lecz za każdem zwróceniem się naszem, cofali się bezładnie i z wielkim krzykiem, unikając blizkiego starcia. Cała ta utarczka trwała nie więcej jak pół godziny. W Lubczy zatrzymaliśmy się dla złożenia rannych i pewnego uporządkowania. Biedny Bończa, miał strasznie zrąbaną głowę i obecny doktor nie robił żadnej nadziei. Mózg był nadwerężony a silna gorączka połączona z upływem krwi, czyniła stan jego śmiertelnym. W całej tej rozprawie mieliśmy sześciu zabitych i 15. rannych. Wszedłem na salę, gdzie złożono rannych. Straszny widok przedstawił się moim oczom — pokaleczeni ludzie, leżeli rzędem na słomie, wydając przeraźliwe jęki. Bończę posadzono na krzesełku, obmywając skrzepłą krew. Głowa jego przedstawiała jedną wielką ranę, którą doktor bandażował — czułem, że mi się robi niedobrze — zmuszony byłem wyjść. Na drugi dzień o godz. 4. rano, dowódzca nasz skończył życie w strasznych cierpieniach. Wiadomość ta smutne na nas uczyniła wrażenie — głęboki i nieudany żal wypiętnowany był na obliczu każdego — zdawało nam się, żeśmy utracili ojca lub brata. Poważnem swojem postępowaniem, surowością obyczajów i niezwykłem a tajemniczem obejściem, potrafił nas przywiązać do siebie, natchnąć zaufaniem i wiarą, niezbędną w żołnierzu do swego wodza. Zagadkowa jego przeszłość i widoczne, rozlane po jego twarzy cierpienie moralne, wywierały na podwładnych pewien urok i mimowolnie, zjednywały mu serca i sympatję niekłamaną.

Co go spowodowało do przyjęcia bitwy pod Górami, której mógł snadnie uniknąć, będąc dość wcześnie przestrzeżonym i gdzie, jako człowiek doświadczony, mógł łatwo przewidzieć, że uderzając na piechotę prawie obwarowaną, nie może się spodziewać innego rezultatu jak klęski — jest to dla mnie po dzień dzisiejszy zupełną zagadką. Prawdopodobnie chciał wyrzucić ze siebie robaka, który go gryzł; szukał śmierci i znalazł ją! Gwałtowne jego wyskoczenie naprzód oddziału, nie obejrzawszy się nawet co czynią podkomendni, stwierdza moje przypuszczenie — chciał zginąć. W każdym razie niech mu ziemia ojczysta będzie lekką!

W parę dni po bitwie pod Górami, Jordan rzeczywiście wyszedł z Krakowa ze swoim oddziałem, liczącym 500 ludzi piechoty i 100 koni, złożonym po większej części ze starych żołnierzy węgierskich i austrjackich, ale napadnięty przez przeważne siły moskiewskie, został ze szczętem rozbity. Słyszałem od naocznych świadków, że 300 ludzi piechoty, mając odciętą zupełnie drogę, zamknęło się w jakiejś wsi około Stopnicy*) w owczarni i broniąc się przez sześć godzin, zostali nakoniec spaleni — ani jeden nie ocalał. Moskale stracili wedle ich własnych raportów około 300 ludzi w zabitych i rannych. A pan Jordan, dowódzca oddziału, przy pierwszym wystrzale, na czele kawalerji drapnął i nie oparł się aż z powrotem w Galicji. W bitwie tej zginął moskiewski kapitan Pleskaczewski, ten sam, który miał z nami utarczkę pod Górami.

*) Jest to pomyłka. Autor prawdopodobnie mówi tutaj o krwawej rzezi oddziału Czachowskiego w Iwaniskach. (Przyp. wydawcy.)

Jednocześnie prawie z rozbiciem oddziału Jordana, zginął dowódzca oddziału, Czachowski, zrąbany we wsi swojej córki, przed jej oknami. Cały oddział jego wyszedł już w pole i ustawił się w szeregi. Czachowski wyjeżdżał ostatni z podwórza. We wrotach koń mu się rozpiera i ruszyć się z miejsca nie chce. Nadbiegłym dragonom opędzał się szablą jakiś czas, lecz w końcu uległ i zrąbany śmiertelnie spadł z konia i więcej nie powstał.

Po śmierci Bończy objął komendę rotmistrz Dzianott, człowiek słabego charakteru i bez najmniejszej znajomości rzeczy wojskowych, niezbędnych dla dowódzcy osobnego oddziału. Ta mimowolnie pozyskana komenda trapiła go i kłopotała, nie wiedział co robić z sobą i jak się kierować na przyszłość. Zamierzył więc przyłączyć się do którego z oddziałów i w tym celu z Lubczy wyruszyliśmy ku Koniecpolowi, gdzie stał Oksiński i Chmieliński. Ten ostatni przed paru dniami miał bitwę pod Janowem, gdzie Moskale uderzyli na tylko co sformowany jego oddział. Potrafił szczęśliwie im się wymknąć z niewielką stratą, tylko miasteczko ucierpiało, gdyż spalone zostało ze szczętem.

Z pod Janowa prosto przybył do Secymina i tam kompletował dalej swój oddział. Po dwóch dniach marszu przybyliśmy do obozu Chmielińskiego i zostaliśmy nadzwyczaj zdziwieni niezwykłym ruchem i postawą wojenną onego. Sądziliśmy, że Moskwa niedaleko, przekonaliśmy się za chwilę, że przygotowania te miały nas na celu. Doniesiono bowiem Chmielińskiemu, że Bończa zginął opuszczony przez nas i w oczach nowego dowódzcy uchodziliśmy za ostatnich tchórzów. Postanowił więc nas ukarać i w tym celu wyszedłszy przed front, objawił nam, że dla dobra sprawy uważa za stosowne, wcielić nas do piechoty, tem bardziej, że siłę główną i więcej użyteczną widzi w tej broni. Wspomniałem już, że ogólną słabością w powstaniu było służyć w kawalerji; na objawiony zatem rozkaz czy projekt, powstał z naszej strony szmer burzliwego niezadowolenia. Rotmistrz Dzianott zaczął przekładać, że to są już wyćwiczeni kawalerzyści i mogą przynieść należyty pożytek powstaniu, kiedy przeciwnie w piechocie trzeba by ich znowu uczyć. Na to przerwał Chmieliński, że o odwadze i zdolnościach kawaleryjskich naszych ludzi najlepiej przekonywa śmierć byłego ich dowódzcy, którego pozwolili nikczemnie w swoich oczach zamordować, a co do nauczenia ich musztry piechotnej, nie ma najmniejszego kłopotu; chęci i pojętności napędzi ten oto bat — wreszcie rozkazów raz wydanych, nie ma zwyczaju zmieniać. Odwrócił się i wszedł do namiotu.

Rotmistrz Dzianott nie wiedząc co począć, obrócił się do oddziału oburzonego w wysokim stopniu, spoliczkowanego haniebnie zarzutem tchórzostwa, który co prawda był niesłuszny — żądając rady. Jednogłośną prawie na to usłyszał odpowiedź, że pod takimi warunkami i po takiem przyjęciu, nikt z nas z oddziałem Chmielińskiego się nie złączy — i nie czekając wcale rozkazu swego rotmistrza, cały oddział zwrócił się w prawo i kłusem wyruszył z miasteczka, Chmieliński przyzwyczajony będąc w wojsku regularnem do subordynacji i karności i rachując na swoją powagę, a może też i siłę bagnetów, nie przypuszczał nigdy, żeby rozkaz dowódzcy mógł napotkać opór. Na wiadomość przeto, że oddział Bończy wyszedł z jego obozu,

zerwał się jak wściekły i kazał strzelać piechocie, ale zobaczywszy nas w odległości paru wiorst, opamiętał się, gorżko się uśmiechnął i machnąwszy ręką, kazał swym ludziom broń postawić w kozły.

Sceny podobne były w ostatniem powstaniu na porządku dziennym, nic dziwnego przeto, że przy takich warunkach i samowoli, ułatwiliśmy Moskalom rozbijanie naszych oddziałów, zamiast łączyć się wspólnemi siłami i napadać w nieprzyjaznych okolicznościach na drobne komendy moskiewskie. Każdy z dowódców oddziału miał jakąś dziwną chęć niezależności i popisywania się na swoją rękę; nie chcieli rozumieć, już nie powiem ogólnego, ale swego osobistego interesu, i zwykle kończyło się na tem, że wpadali w łapkę, tracili ludzi niepotrzebnie, nie przynosząc żadnego pożytku, i każdy z tych panów, odegrawszy swoją rolę, zmykał w bezpieczne miejsce. O subordynacji i poszanowaniu władzy nie chcieli nawet wiedzieć. Stan taki oddziaływał i na podwładnych, którzy swoich towarzyszów, postawionych niżej czy to umysłowo, czy socjalnie, traktowali z góry i każdy panicz rościł pretensją do wydawania rozkazów, poczytując sobie za obrazę spełniać polecenia, wychodzące z ust parweniusza. Ale co to o tem mówić — stare to nasze wady — przejdźmy lepiej do rzeczy. (C. d. n.)

POGADANKA

o różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

Co to jest szczęście i jakie są jego warunki?

(Dokończenie).

Szczęście, będąc wewnętrznym stanem człowieka, uczuciem, zadowoleniem z siebie i ze świata, samo przez się nie powstaje, lecz spowodowanem bywa przez pewne zewnętrzne okoliczności, które działając na umysł w ten lub inny sposób, stosownie do warunków, pod jakiemi to działanie wykonywa się, wywołują w nim mniejszą lub większą przyjemność, mniej lub więcej szlachetną rozkosz.

Okolicznościami, spowodowującemi nasze szczęście, są naturalnie przygody naszego życia, powodzenia w naszych zamiarach, zdarzenia i wypadki społeczne, pośrednio lub bezpośrednio nas dotykające i wpływające na naszą działalność. Co się zaś tyczy warunków, w różnym stopniu modyfikujących działanie zewnętrznych okoliczności, a oraz usposabiających jednostkę do takiego lub innego oddziaływania na nie, to dadzą się one podzielić na zewnętrzne i wewnętrzne, które znów ze swej strony mogą być podzielone na wrodzone i nabyte.

Człowiek będąc semoistną jednostką, mającą w samej sobie główny cel i przeznaczenie swego bytu, jest zarazem cząstką pewnej całości, członkiem społeczeństwa. Organizm społeczny, jakim jest naród, a następnie ludzkość cała, nie jest czem innem, jak zespoleniem usiłowań pojedyńczych ludzi ku osiągnięciu ostatecznego ich przeznaczenia, którem jest rozwinięcie wszystkich stron natury ludzkiej. Wynikiem tych usiłowań jest to, co nazywamy dobrem ogólnem, oświatą, postępem ludzkości i pojedyńczych narodów. Z tego dobra o tyle korzystają pojedyńcze narody i jednostki, o ile przyczyniają się do jego wytworzenia, o ile własnemi siłami, zdolnościami łączą się solidarnie z całością, której dolę i niedolę dzielą chętnem sercem.

Pod wpływem ubustronnego działania na siebie ogółu i jednostki wytwarzają się pewne potrzeby tak ogólne, jak i indywidualne, których zaspokojenie stanowi pomyślność ogólną i szczęście jednostki.

Warunkiem pomyślności ogólnej są cnoty pojedyńczych ludzi: ofiarność, poczucie obowiązków i odpowiednie potrzebom czasu wykształcenie. Warunkiem szczęścia jednostki są korzyści, jakie zapewnia społeczeństwo każdemu ze swych członków w miarę, o ile się przyczyniają do ogólnego dobra.

Szczęście więc jednostki zależnem jest o tyleż od zaśpokojenia potrzeb ogółu, o ile od zaspokojenia jego własnych. Między potrzebami ogółu, a jednostki zachodzi tak ścisły związek, że jedne bez drugich ostać się nie mogą; są one dla siebie nawzajem ostatecznym celem i koniecznym warunkiem. Ale również szczęście jednostki zależy i od stanu, w jakim ludzkość zostaje, jeżeli ludzkość pojmować będziemy, jako grupę narodów, związanych z sobą wspólnością cywilizacji i stosunków politycznych.

Zewnętrzne więc warunki ludzkiego szczęścia dają się uklasyfikować jak następuje:

a) Umoralnienie ludzkości, urządzającej międzynarodowe stosunki nie na podstawie gwałtu i przemocy, ale na zasadach słuszności.

b) Organizacja polityczna narodu, uwzględniająca wszystkie jego potrzeby i zapewniająca swobodny rozwój jego sił tak fizycznych, jak moralnych.

c) Urządzenie stosunków ekonomicznych takie, któreby, rozwijając produkcyjne siły własnego kraju i zapewniając słuszny rozdział narodowego bogactwa, obdarzało wszystkie warstwy społeczeństwa dobrobytem i zabezpieczało jednostkę od nowego rodzaju niewoli, jaką jest zależność pracy od kapitału.

d) Stosunki towarzyskie, stanowiące bezpośrednie otoczenie jednostki. Im mniej te stosunki opierają się na przesądach i uprzedzeniach, im więcej polegają na tolerancji dla przekonań, oraz czujności, karcącej wzgardą wszystkie wykroczenia przeciwko zasadom moralności i narodowego bytu, tem łatwiej znajdzie jednostka wśród nich środki do swego uszczęśliwienia.

Wszystkie te atoli, czysto zewnętrzne warunki, chociażby w najdoskonalszej formie, same przez się nie wystarczą jeszcze do uszczęśliwienia człowieka, jeżeli w nim samym nie znajdą się odpowiednie im uczucia, skłonności i przekonania, które wszystkie razem stanowią warunki wewnętrzne. Wzajemne przystosowanie się do siebie warunków zewnętrznych i wewnętrznych, doskonała o ile być może harmonia między niemi, daje jednostce pewną stałą sumę zadowowolenia, którego chwilowe zakłócenia, doraźne przygody nie zdołają na długo zamącić, które usposabia jednostkę do silniejszego i głębszego odczuwania szczęścia, oraz do szukania go w zaspokojeniu wyższych celów życia i szlachetniejszych dążności.

Do warunków wewnętrznych należą najprzód usposobienia wrodzone, takie, które przynosi z sobą człowiek na świat w spadku po rodzicach, a nawet dalszych swych przodkach. Należą do nich temperament, stan zdrowia, instynktowe czynności i zarodkowe popędy, a nareszcie umysłowe zdolności.

Najodpowiedniejszym do uszczęśliwienia człowieka temperamentem jest sangwiniczny. Będąc następstwem szybkiego i dzielnego odżywiania się organizmu, z łatwością daje się przystosować do warunków zewnętrznych i do wszelkich zmian jakie w nich zachodzą. Wrażenia nie zostawiają w nim trwałych śladów: jak prędko się niemi przejmuje i łatwo im się poddaje, tak też prędko zapomina o nich. Optymistyczny z natury, wszystko widzi w różowych kolorach — świat, życie i ludzi. Sam naiwny jak dziecko, każdemu i we wszystko wierzy, nie przypuszczając w ludziach obłudy, traktując najważniejsze sprawy z lekkomyślnością, która zapomina o jutrze. Zmienny w uczuciach i przekonaniach, żyje tylko dniem dzisiejszym i wszystkie jego pragnienia obliczone są na chwilowe zaspokojenie. Żywy, łatwo się unoszący, ale nigdy długo nie trwający w swych uniesieniach tak dobrych, jak i złych, zachowuje zawsze pewną pogodę umysłową, która go broni od głębokich smutków i przydłuższych cierpień.

Mniej pod tym względem jest zadowalającym temperament limfatyczny, zwany niewłaściwie flegmatycznym. Jest to usposobienie leniwe i obojętne, powoli oddziaływające na wrażenia zewnętrzne, ale wytrwałe do uporu tak w uczuciach i pragnieniach, jak i w postanowieniach i czynnościach. Ludzie tego usposobienia z trudnością dają się rozruszać, ale gdy jakie uczucie zapanuje nan nimi, wzrusza ono ich głęboko, nieraz do samej rdzeni ich istoty, i jeżeli przechodzi, to nie prędko. Temperament ten nie łatwo daje się przystosowywać do wszelkich zmian w swem położeniu, chyba, jeżeli będą nieznaczne i stopniowane w przeprowadzeniu. To też każdą razą, gdy zmuszonym jest do zajęcia nowego położenia, wnosi w nie z sobą swe zwyczaje i nawyknienia i niemi zobojętnia do pewnego stopnia przykrości, jakie dla niego przynosi owa zmiana. Odznaczając się małą wyobraźnią, za ideał ziemskiego szczęścia zważa przedewszytkiem dobrobyt materjalny i spokój; skutkiem czego jest zwykle zwolennikiem porządku, aż do pedantyzmu.

Temperament nerwowy jest usposobieniem, któremu ludzkość zawdzięcza cały swój postęp, ale który niezdolnym jest zapewnić jestnostce szczęścia. Burzliwy, rzadko zadowolony z siebie i z porządku rzeczy, w ciągłym zostaje antagoniźmie tak z ludźmi, jak i ze społeczeństwem. Bystrego umysłu, bujnej wyobraźni, nie znoszący żadnych pęt i ograniczeń, jeżeli nie występuje do otwartej walki z rzeczywistością, to przynajmniej protestuje przeciwko niej ekscentrycznością w mowie i postępowaniu. Temperament ten dostarcza ludzkości zarówno jak wielkich ludzi, sprowadzających przewroty w stosunkach społecznych i politycznych, w naukach i sztukach, tak i wszelkiego rodzaju oryginałów, dziwaków i awanturników.

Są jeszcze temperamenta mięszane, będące udziałem większej części śmiertelników, temperamenta, które przedstawiają w różnym stopniu kombinacje trzech powyższych typów. Takim jest np. temperament limfatyczno nerwowy, stanowiący właściwość Anglo-saskiej rasy.

Każdy wie z własnego doświadczenia, jak dalece stan zdrowia wpływa na moralną stronę człowieka i zmienia w różny sposób jego upodobania i wymagania. Nie potrzebuję przeto rozwodzić się nad tem, jak ważną dla szczęścia jednostki jest okolicznością, jeżeli przynosi z sobą na świat organizm zdrowy, wolny od zarodów jakichkolwiek chorób, jeżeli zbudowanym jest prawidłowo bez żadnych wadliwości znaczących. Wiadomo np., że ludzie, posiadający wązkie i wpadłe piersi, odznaczają się zwykle bojaźliwością, są skryci, a często nawet przebiegli i obłudni; że nienormalny stan wątroby usposabia do melancholji, wytwarza mizantropów, wszelkiego rodzaju śledzienników, z żółcią na ustach, z zawiścią w oku, niezadowolonych z siebie i ze wszystkiego, co się w koło nich dzieje; że odziedziczone do obłąkania usposobienie objawia się na długo przed smutnem kryzys pewnemi zboczeniami bądź w sferze uczuć, bądź w stronie popędowej. Nie ulega też wątpliwości, że rozwijające się powoli zarody takich chorób, jak suchoty, choroby serca, skrofuły, konwulsje itd. rozmaicie muszą wpływać na umysł człowieka, czyniąc go mniej zdolnym do odczuwania ziemskiej szczęśliwości, chociażby dla tego, że osłabiają w nim organiczną odporność na zewnętrzne czynniki.

Co się tyczy wrodzonych skłonności, to te, będąc w niemowlęciu w stanie zarodkowym, jako pewien nastrój nerwowego układu, w późniejszym dopiero czasie, w miarę, jak znajdą się odpowiednie okoliczności, objawiają się zrazu, jako nieokreślone i nieświadome popędy i pragnienia, upodobania i wstręty, a później świadome swego celu żądze i zamiłowania. Puszczone samopas, bez żadnego kierunku ze strony wychowania, stają się namiętnością, pochłaniającą w sobie wszystkie inne potrzeby natury ludzkiej i zużywającą na swoją korzyść wszystkie jej siły tak fizyczne jak i moralne. Że człowiek, który pozwolił opanować się przez jedną jakąś namiętność i w jej zaspokojeniu szuka swego uszczęśliwienia, skazuje się z góry na ciągłe zawody i cierpienia, jasno wykazuje się już z tego, że warunki społecznego życia, będąc rezultatem najróżnorodniejszych potrzeb natury ludzkiej i mając za zadanie ich zaspokojenie, nie zdoła dostarczyć mu zawsze środków do jej zadość uczynienia potrzebnych.

Drugą kategorją wewnętrznych warunków są skłonności i usposobienia nabyte wychowaniem, wykształceniem, a szczególniej własną nad sobą pracą. Wyraz nabyty nie zupełnie jest tu właściwym. Czego człowiek z sobą nie przyniesie, tego weń ani włoży, ani wytworzy wychowanie i własna nad sobą praca. Dziełem wychowania jest nadawanie wrodzonym skłonnościom i zdolnościom pewnego, odpowiedniego potrzebom czasu i zadaniom życia w ogóle, kierunku, przez rozwijanie skłonności dobrych, a stłumianie złych albo takich, które nie zgadzają się z przyszłym zawodem jednostki. Atoli ani wychowanie, urabiające serce i zaszczepiające w nie reguły moralnego postępowania, ani wykształcenie, rozwijające rozumowe zdolności i dostarczające zasobu wiedzy, nie zdołają należycie usposobić człowieka do życia praktycznego, jeżeli on sam nie zabierze się do pracy nad sobą, jeżeli sam nie zastanowi się, nie pozna swych skłonności i zdolności i nie nauczy się nad niemi panować. Tylko własną pracą nad sobą, ciągłem czuwaniem i łamaniem się z własnemi popędami i pokusami świata, dochodzi człowiek do wyrobienia w sobie owej jednolitości indywidualnej, jaką widzimy w ludziach z charakterem. Charakteru nie otrzymujemy w darze od natury, jest on dorobkiem naszych wysiłków, jest on zwycięztwem naszem nad własną naszą naturą, którą musimy przerabiać i modelować podług ideału, jaki sami sobie urobiliśmy o doskonałości ludzkiej, albo jaki nam podaje społeczeństwo.

Pod względem charakteru nastręczają nam ludzie pewne, wybitne różnice, które nie w jednakiej mierze przyczyniają się do uszczęśliwienia człowieka, a które dadzą się sprowadzić tak samo, jak temperamenty, do trzech typów. Są niemi: charakter rozumowy, uczuciowy i czynny. Charakter rozumowy odznacza się przewagą rozumu, biorącego wszystko pod kredkę rachunku; zimny, oględny w postępowaniu, każdy krok swój oblicza na zamiary i nie daje się unosić żadnym sentymentom, które dla niego są dziecińśtwem. Przeciwnym mu jest charakter uczuciowy, którego główną cechę stanowi wewnętrzna, nieprzeparta potrzeba współczucia ludzkiego. To też, kiedy charakter rozumowy wszystkie stosunki z ludźmi opiera na interesie, charakter uczuciowy kieruje się pod tym względem przeważnie sympatją. Charakter rozumowy dostarcza światu dyplomatów i ludzi naukowych; uczuciowy poetów, artystów wszelkiego rodzaju, filantropów, fanatyków tak religijnych, jak i politycznych, i różnego gatunku Werterów. Najwyższym jest charakter czynny, łączący w sobie oba powyższe w mniej lub więcej doskonałej harmonji. Przeważną jego cechę stanowi niewyczerpana energja woli nieznosząca oporu, nieznająca niepodobieństw. Ludzie tego charakteru z łatwością zapalają się do idei, poddają się gwałtownym nieraz uczuciom, ale jednocześnie umieją nad sobą panować i obmyślać spokojnie wszystkie środki, potrzebne do ich zaspokojenia, i gdy raz coś postanowią, z drogi się nie cofną i chociażby mieli deptać po głowach swych bliźnich i kroki swe znaczyć potokami krwi i zniszczeniem, pójdą prosto i bez oglądania się ku założonemu celowi, zdobywając w ten sposób wieńce sławy i przekleństwa. Takim charakterem odznaczali się w wysokim stopniu Aleksander Macedoński, Cezar, Napoleon I. i wielu innych, o których wspominają dzieje przeszłe i współczesne.

Najmniej korzystnym pod względem szczęścia jest charakter uczuciowy, który w ciągłej będąc kolizji ze stosunkami społecznemi, przeważnie na interesie opartemi, narażonym bywa na liczne zawody i cierpienia. Wprawdzie radzi sobie znaczną dozą pobłażliwości dla ludzi, wyrozumiałością na to, co się nie zgadza z jego pojmowaniem rzeczy i rezygnacją w znoszeniu przeciwności, są to przecież środki, które zmniejsza tylko zło, ale go nie usuwają. Z drugiej atoli strony przyznać należy, że wielki zasób uczucia czyni go zdolnym do najsilniejszego odczuwania rzadkich chwil szczęścia; on jeden zdolnym jest owych uniesień i zachwytów, które odrywając od rzeczywistości, pozwalają mu kosztować najwyższych rozkoszy, jakie przynosi z sobą poetyczne natchnienie i poświęcenie się dla wielkiej sprawy lub idei. Nie należy z tego wnosić, by podobnych zachwytów i uniesień nie doznawali ludzie z charakterem rozumowym i czynnym, tylko, że ich uniesienia są innego rodzaju. W poetycznym zachwycie, w uniesieniu, wywołanem przez zewnętrzne wypadki, charakter uczuciowy zapomina o wszystkich względach; gdy tymczasem oba inne charaktery pamiętają o nich zawsze i nigdy nie poddają się całkiem uczuciu, zawsze są panami siebie i umieją miarkować się odpowiednio warunkom otoczenia, albo założonym przez się zadaniom. Charakter rozumowy najłatwiej przystosowuje się do zewnętrznych warunków. Dewizą jego życia: głową muru nie przebić. Najtrudniejszym pod tym względem jest charakter energiczny, który, lubo zgadza się z koniecznemi warunkami życia, do jego chwilowych wymagań nie łatwo się nagina. Mając atoli olbrzymią energję i dążnościami swemi sięgając po za granice chwili, mało dba o przeciwności i wzgardą odpłaca niechęcie i uprzedzenia.

Takie są warunki szczęścia wewnętrzne i zewnętrzne. Łatwo się z nich przekonać, że jakkolwiek źródłem szczęścia jest własne nasze serce, nie każdy i nie zawsze może go sobie zapewnić; gdyż do urzeczywistnienia go potrzebne są warunki, które w części tylko od nas zależą. Zawiśli jesteśmy pod tym względem od społeczeństwa, w którem żyjemy, od dziejowych wypadków, które w ten lub inny sposób odddziaływając na społeczeństwo, wpływa i na losy jednostki; od wychowania, jakie odebraliśmy, a nareszcie od natury, która nas obdarzyła zdrowiem albo chorobami, uposażyła nas w dobre lub złe skłonności.

Podstawą szczęścia ludzkiego jest przystosowanie się jednostki do zewnętrznych warunków, to znaczy jak najdoskonalsze możliwie popogodzenie swych potrzeb z potrzebami społeczeństwa w ogóle. W ten tylko sposób zdołamy ustalić w sobie ową równowagę umysłową, która, zapewniając nam wewnętrzny spokój, obdarza nas zadowoleniem z siebie i uzdalnia do odczuwania w całej sile wszelkich przyjemności życia. Otóż do tej równowagi, do tego pogodzenia swych uczuć, pragnień i dążności z potrzebami społeczeństwa bardzo rzadko człowiek przychodzi, a nawet bodaj czy zdolnym jest do tego. Człowiek nigdy nie może przestać być sobą, chyba drogą ascetycznej abnegacji, która nie jest czem innem, jak moralnem samobójstwem Indywidualność jego, przynajmniej w dzisiejszych warunkach, zawsze wykracza z uświęconych zwyczajem, przesądami i nałogiem form życia, zawsze znajdzie w koło siebie coś, co ją krępuje w jakikolwiek sposób i zakłóca wewnętrzny spokój. Dlatego też i rzeczywistego szczęścia, takiego, któreby było zupełnem, stałem i niezmiennem, pewnem i niezawodnem, nie masz i być nie może. Nie możemy bowiem przy największej ostrożności zabezpieczyć się tak od wszelkich przygód, ażeby w naszych stosunkach nie zaszła jakaś zmiana niekorzystna, ażeby nasze uczucia nie uległy wstrząśnieniom, nasze pojęcia nie znalazły zaprzeczenia, nasze zdrowie nareszcie nie uległo zboczeniom i zakłóceniom. Szczęście człowieka polega na zaspokojeniu wszystkich potrzeb jego natury; możliwe zadośćuczynienie im stanowi zadanie społeczeństwa, ale dalekiem ono jeszcze jest od tego, by w swem urządzaniu się uwzględniało je całkowicie. Nie rzadko się zdarza, że je zgoła zapoznaje, uważając jednostkę nie za cel, ale za środek do urzeczywistnienia zadań, które z przeznaczeniem człowieka bardzo często nie mają nic wspólnego.

Jednostka, będąc członkiem społeczeństwa, nie przestaje być sobą, a więc myśli, czuje i działa w sposób mniej lub więcej sobie tylko właściwy. Dlatego też każdy z nas może być szczęśliwym w sposób odmienny i z różnych powodów. Co jednego uszczęśliwia, to dla drugiego może być jeżeli niezupełnie obojętnem, to przynajmniej takiem, że zaledwie przelotne wywoła w nim zadowolenie. Zależy to od położenia jednostki, od moralnego jej stanu, od wykształcenia, a nareszcie od chwilowego usposobienia. Człowieka niskich usposobień uszczęśliwia zaspokajanie cielesnych żądz; obojętnym on jest na wszystko, co mu nie daje zmysłowych przyjemności. Przeciwnie człowiek wyższego umysłu, biorący żywy udział w sprawach społeczeństwa i interesujący się postępem oświaty, w zaspokajaniu cielesnych potrzeb widzi tylko konieczny warunek życia, i chociaż nie stroni od zmysłowych przyjemności, przyczyniających się w pewnej mierze do naszego uszczęśliwienia, stara się je uszlachetnić i nie szuka w nich wyłącznego zadowolenia. Ideałem jego szczęścia jest zadośćuczynienie pragnieniom serca, które ukochało piękno, prawdę i dobro.

Pomijając dwa te krańcowe przykłady, należące do wyjątków, a zwracając uwagę na zwyczajnych śmiertelników, z jakich się składa ludzkość, można powiedzieć, że trzy są środki, które zaspokajając wszystkie potrzeby ludzkiej natury, zdolne są uczynić go szczęśliwym, o ile na to pozwalają wewnętrzne i zewnętrzne warunki życia. Są niemi: dobrobyt materjalny, odpowiedni umysłowemu stanowisku jednostki, związki rodzinne i przyjazne i głęboko rozwinięte poczucie swych obowiązków społecznych, czyli patryotyzm. Żaden z tych środków, pojedynczo wzięty, nie zdoła zapewnić człowiekowi szczęścia; każdy z nich bowiem, zaspokajając jedną stronę ludzkiej natury, zostawia w zaniedbaniu inne i wcześniej lub później staje się powodem dotkliwych cierpień, a nawet męczarni. Człowiek bowiem nie zdoła zrobić z siebie abstrakcję, nie zdoła uwolnić się od różnorodnych uczuć i skłonności, jakiemi go uposażyła natura. Poddając się jednej jakiejś wyłącznej namiętności, przygłusza on tylko na czas pewien inne potrzeby swej natury i te wcześniej lub później dopomną się o swe prawa z tem większą natarczywością, im pod większym zostawały przymusem. Przeznaczeniem człowieka, o ile o tem wnosić możemy z jego natury, jest równowaga wszystkich sił, jest harmonja w rozwijaniu i kształceniu serca, rozumu i woli.

Rzeczą jest godziwą, a nawet chwalebną, myśleć i pracować nad wzbogaceniem się; ale gdy żądza bogactw urośnie w namiętność i zobojętni człowieka dla związków rodzinnych i spraw społecznych, staje się on chciwym egoistą i w gromadzeniu złota widzi ostateczny cel swój. To też lada strata, a szczególniej zupełna klęska majątkowa, zostawia go bez żadnej pociechy i rzuca na pastwę rozpaczy, która go wiedzie do samobójstwa.

Miłość kobiety, przywiązanie do rodziny są święte i konieczne do uszczęśliwienia człowieka; ale gdy człowiek po nad nie nic już świętszego nie widzi, gdy dla miłości zapomina o wszystkich zasadach i ideach, o wszystkich powinnościach i celach życia; gdy w rodzinie upatruje cały swój świat, zamknięty w sobie i dla siebie — i wszystko, co po za nim dzieje się, obchodzi go o tyle tylko, o ile może wpływać na los drogich mu osób: grzeszy on natenczas małodusznością i samolubstwem tak samo, jak ten, co całe życie swe ogranicza do celów osobistych i tem samem ścieśnia granice własnego uszczęśliwienia.

Nie masz nic świętszego i wznioślejszego nad miłość ojczyzny, nad pracę dla dobra ogółu. Poświęcenie się jednostki w razie, gdy tego potrzebuje sprawa narodu lub ludzkości, opłaca się wewnętrznem zadowoleniem, które jest trwalszem i szlachetniejszem od wszystkiego, co w zwykłem znaczeniu pojmujemy, jako szczęście. Jednakże ani to poświęcenie się, które nie jest na porządku dziennym, ani żadna praca w jakimkolwiek zawodzie publicznym, ani badania naukowe lub oddawanie się sztukom, nie wymagają od człowieka, by przestał być sobą, by się okaleczał moralnie, wyzuwając się z pewnych potrzeb, które stanowią treść jego istoty. Ci więc, którzy dobrowolnie, dla źle zrozumianych wyższych względów albo przez niedbalstwo, nie pomyśleli o zapewnieniu sobie materjalnego bytu, nie postarali się o stworzenie domowego ogniska, przy którem by mogli rozgrzać skrzepłe od chłodów życia serce i rozniecić w niem nowy zapał do pracy, pozbawiają się samochcąc głównego punktu oparcia dla swego szczęścia. Walka o codzienny chleb wyczerpuje żywotne ich siły i zaprawi ich serce goryczą, która zatruje każdą chwilę szczęśliwą; samotność zaś, jaka ogarnia człowieka bez rodziny, wysuszy w końcu serce, jak skwar letnich upałów owoc, oderwany od drzewa, które je poiło swojemi sokami. Rozpierająca pierś jego próżnia owionie go na około, jak duszący powiew Samumu, przyprawiając go o nieokreślony smutek i tęsknotę, których koniecznem następstwem są: zniechęcenie i apatja. Nie kochając nikogo i sam nie będąc przez nikogo kochanym, mimowoli i wbrew wszelkim usiłowaniom, zakończy albo na samolubstwie, albo na skeptycyzmie, wyszydzającem wszystko, w co przedtem wierzył, i co dlań świętem było. Zawód, któremu oddawał się dawniej z zapałem, który go uszczęśliwiał, stanie się dlań nałogiem, ucieczką od nudów, lekarstwem na smutne rozmyślania nad swem osamotnieniem, którego sam jest przyczyną. Jeżeli bowiem słusznem jest, że ostatecznym celem usiłowań człowieka jest osobiste szczęście, to również słusznem jest, że nasze szczęście w szczęściu innych leży. O tyle jesteśmy szczęśliwi, o ile kochamy i nad uszczęśliwieniem drogich sobie osób pracujemy. Jestto zdanie, które wypowiedział w swych pamiętnikach J. St. Mill, jeden z największych filozofów.

ZE SZKICÓW HUMORYSTYCZNYCH MARKA TWAINA

O pokojówkach.

Niniejszem rzucam przekleństwo moje kawalerskie wszystkim pokojówkom, każdego wieku i każdej narodowości.

Motywa:

Zawsze kładą poduszki po tej stronie łóżka, która się znajduje naprzeciwko płomienia gazowego, tak, że gdy się przed uśnięciem czyta i pali cygara, co jest odwiecznym i głęboko szanowanym obyczajem kawalerskim, to książkę trzymać wtedy trzeba w niedogodnej pozycji, aby światło nie raziło oczu.

Gdy następnego ranka znajdą, że poduszki zostały przeniesione na drugi koniec łóżka, to nie przyjmują tej wskazówki do wiadomości z przyjaźnem usposobieniem, lecz znowu ścielą łóżko jak było pierwej, w przekonaniu swej władzy i bez litości dla naszej niemożebności stawiania oporu. Mają przytem ukrytą radość ze złości i przykrości, jaką ich tyrania nam wyrządza.

Skoro tylko zauważą, żeśmy przełożyli poduszki, niszczą natychmiast naszą pracę, irytują nas i starają się uczynić gorzkiem to życie, którem nas Bóg obdarzył.

Kiedy nie mogą w inny jakikolwiek sposób postawić światła w niewygodnem miejscu, to przesuwają wtedy łóżko.

Postawisz twój kufer o sześć cali od ściany, aby, gdy się go otworzy, wieko mogło się o nią oprzeć, to wnet ci przysuną do samej ściany. Robią to umyślnie.

Chcesz mieć spluwaczkę w pewnem, stałem miejscu, gdzie byłaby wygodnie pod ręką, to one się na to nie zgadzają i usuwają na bok za każdym razem.

Zawsze stawiają naszą drugą parę butów w niedostępnych miejscach. Szczególną robi im to przyjemność wsunąć te buty pod łóżko aż do samej ściany. Czynią tak, bo to nas zmusza do nachylenia się i przybrania pozycji niepoważnej, niegodnej, do szukania po ciemku przy pomocy kija i do miotania najobrzydliwszych przekleństw.

Za każdym razem stawiają pudełko z zapałkami w innem miejscu. Codzień wynajdą świeże miejsce do tego, i codzień stawiają karafkę lub inne szkło łatwe do zbicia, tam, gdzie wczoraj były zapałki. Robią tak, aby nas zmusić do rozbijania szklannych przedmiotów, podczas szukania zapałek w ciemności i bylebyśmy tylko stratę ponieśli.

Wiecznie i zawsze przesuwają meble. Gdy się wraca wieczorem późno do domu, rachować można z pewnością na to, że się znajdzie biurko tam, gdzie z rana stała szafa. I gdy się wyszło z rana zostawiwszy cebrzyk do wylewania wody koło drzwi a fotel koło okna, to napewno, wracając o północy, albo mniej więcej w tym czasie do domu, potknąć się musisz o fotel i upaść, a gdy się domacasz do okna, usiąść w cebrzyku. Im jest to przyjemne. Podoba się im to.

Wszystko jedno co gdzie postawisz, ani się im śni zostawić to na miejscu. Przy pierwszej lepszej okoliczności zabiorą ten przedmiot i postawią gdzie indziej. To leży w ich naturze. A w dodatku robi to im przyjemność być w ten sposób nikczemnemi. Wolałyby umrzeć, niż zaprzestać swych psikusów

Zawsze podnoszą stare kawałki zadrukowanego papieru, gdy się je rzuci na ziemię i starannie układają na biurku, a tymczasem podpalają w piecu drogocennemi manuskryptami. Jeśli się znajdzie jakiś szczególniej stary kawałek papieru, do którego się ma wstręt zupełny, i którego się stara pozbyć w jakikolwiek sposób, to możesz zadawać sobie trud jaki zechcesz, nic nie pomoże; bo ten strzępek papieru zawsze wynajdą i położą znowu na pierwotne miejsce. Przynosi im to ulgę.

I używają one więcej pomady, niż sześciu mężczyzn. Jeśli się oskarży je o nadużycie, to kłamią w oczy. Czy one się pytają o przyszłe życie? Absolutnie nie.

Gdy się dla wygody zostawi klucz we drzwiach, to odnoszą go wnet do portiera hotelu. Czynią to pod nędznym pretekstem ochronienia nas od złodziejów; lecz w samej rzeczy postępują tak, aby, gdy się zmęczonym wróci do domu, wdrapie się na schody, trzeba było zejść znowu po klucz na dół, albo się poddać przykrości wysłania na dół garsona, który naturalnie żąda za to na piwo; w którym to wypadku te istoty zdemoralizowane dzielą się prawdopodobnie łupem.

Nieprzerwanie starają się z rana słać łóżko, zanim się jeszcze wstało i tym sposobem psują nam najlepszą drzemkę ranną; gdy się jednak wstanie, aż do dnia następnego nie pokazują się wcale.

Popełniają w ogóle wszelkie psoty, jakie tylko wymyśleć mogą, i czynią to z najczyściejszej złośliwości a nie z innego powodu.

Dusza pokojówek zamarła dla wszelkiego ludzkiego uczucia.

Jeśli będzie można w izbie ustawodawczej przeprowadzić wniosek, żądający usunięcia raz na zawsze wszelkich pokojówek, to ja to uczynię.

NIEPOPRAWNY.

Żem kochał — wiedzą anieli!
Za nią, tak pełną przymiotów,
Do nieba (jak mówi El-y)
I w piekło byłbym iść gotów!

A ona? — Ona mawiała:
«O! ja się nigdy nie zmienię!»
A zaś nazajutrz dodała:
Że... że to było złudzenie!...

Mój Boże! Takie to one!
A buzia — jak malowana!
Świetny materjał na żonę...
Na żonę, tak, dla sułtana.

I wierz-że teraz kobiecie!
Lecz trudno: żegnam i basta.
Serce mi pękło... Cóż chcecie?
Choć pękło — jakoś się zrasta.

* * *

Skończywszy z tą Dulcyneą
Przestałem marzyć o niebie,
I czulej, niźli Romeo
Kochałem... samego siebie.

Ach, jak żyliśmy szczęśliwie!
Dobraneż bo było stadło!
Doprawdy — bardzo się dziwię,
Że mi się i to przejadło.

Przyszła mi bowiem myśl płocha
Choć sformowana najprościej:
Że kogo nikt już nie kocha,
Nie wart i własnej miłości!

I odtąd z politowaniem
Spoglądam w życia koleje;
Nie płaczę, nie tęsknię za niem
Nie gniewam się, i nie śmieję...

Tylko gdy wiosny jutrzenka
Zbudzi mię w ranek majowy,
Gdy z pola płynie piosenka
Na skrzydłach z woni łąkowej...

Tak mi coś serce naciska
Jakbym miał płakać z rozpaczy —
Chcę śmiać się — ale łza błyska
I pali... Było inaczej!

Świat niby ten — ale inny!
Słońce i ziemia i wody,
Wszystko jak w dobie dziecinnej:
Tak, wszystko; prócz — żem był młody!

A serce, to jakby drugi
Świat — tylko dzikszy i większy
Ma czary na swe usługi
To brzydnie, to się upiększy.

Raz chce żyć w słońcu promienne,
To znów — jak ślimak w skorupie,
A sądzi, że jest niezmienne!...
Ma rację, bo zawsze głupie.

Lecz co tam — dobre i takie.
Bez złudzeń — co życie warte?
Wszystko w tej księdze jednakie,
Naprożno przewracać kartę —

Nuda... Więc wołam na śpiocha:
«Patrz w tę jutrzenkę różową!
Wszystko się budzi, drży, kocha...
— Możeby zacząć na nowo?»

J. M.

LISTY Z CZECH.

VI.

W czeskiej literaturze jest teraz doba rozkwitu. Prace nowe pokazują się za pracami i możemy powiedzieć, że dziennikarz zaledwie może śledzić za niemi. Zaznajomimy szanownych czytelników naszych listów z najnowszemi płodami naszych pisarzy. Przedewszystkiem zasługuje na wzmiankę „Nowy zbiór wierszowanych prac Świętopełka Czecha“. Wyszedł nakładem księgarni dra Gregra i Datla w Pradze. Świętopełk Czech, współredaktor miesięcznika „Kwiaty“, jest znakomitym poetą i nowellistą. O każdej jego pracy moglibyśmy powiedzieć, co rzekł Billroth o kronice Petersena: „Nie mam co do powiedzenia o tej książce, lecz to jedynie, że sam nie jestem niestety jej autorem.“ Wszystkie poezje w zbiorze tym wydane (Europa, Czerkies, Ve stinu lipy, Handżar, Na hrob Havlasuw, Żiżka, Zimni noc) są pełne znakomitych myśli, również pięknych jak ich język poetyczny. W języku Czecha jest powab nieskończony. Jego forma jest śmiała i prosta. Utwory te należą do najpiękniejszych płodów czeskiego ducha.

Inny zdolny poeta nasz a powieściopisarz, Juljusz Zeyr, wydał zbiór poezji p. t. „Vyszehrad“, z którego wieje wielkie serce i bogactwo ducha. Z pięciu epickich poematów najlepszym jest „Ctirad“.

„Jan Rohacz z Dubé“ jest tytułem pięcioaktowego dramatu Mirosława Krajnika. Imię Rohacza często powtarzanem było w wojnach husyckich. Jego życie i niezwykle tragiczny koniec składają się na postać sympatyczniejszą od innych do tragicznego obrobienia. Krajnik wziął ją za przedmiot do swej pracy i stworzył piękny dramat historyczny, pełen życia, jedyny w myśli, o charakterach wybitnych znakomicie opracowanych. Dramat ten miał już być wystawiony na prazkiej scenie, lecz cenzura dwukrotnie go zakazała. Autor udał się do ministerstwa, które zniosło ten zakaz i już prawdopodobnie w najbliższym czasie będzie on wystawionym.

Salonowa bibljoteka, wydawana przez prazkiego nakładcę p. S. Otta, przynosi w najnowszym zeszycie wielce zajmujące „Arabesky a kresby“ przez Fr. Heritesa. Pisarz ten jest literackim indywidualistą. Własności charakteryzujące go są przedewszystkiem: głęboki, pochmurny, lecz pełen duszy pogląd na świat, styl poetyczny, bystry dar spostrzegawczy, ostre kontury rysunku a lekki język. Ma nieco podobieństwa z Litwosem. Pozwolimy sobie zwrócić uwagę z wzmiankowanej książki, na rzecz cechującą jego rodzaj pisania, na „Rodzinę pana kontrolera“.

O niektórych innych zajmujących objawach literatury czeskiej pomówimy w przyszłym liście.

Na początku b. m. zawitał do Pragi znakomity kompozytor polski Wł. Żeleński i był najserdeczniej przyjmowany w naszym świecie muzycznym i w „Stowarzyszeniu polskiem“. Dnia 4. b. m. tutejszy nakładca muzyczny pan Urbanek, urządził w swym salonie, na cześć sławnego gościa, wieczór, przy której to okazji szanowny gość dał nam poznać niektóre ze swych najnowszych utworów. Następnie był pan Żeleński zaproszony na wieczorną zabawę do muzycznego wydziału „Biesiedy Umieleckiej“, gdzie opowiadał wiele szczegółów o swych pracach i poznajomił zebranych z niektóremi swemi kompozycjami. Ogólną uwagę zwrócił wielki chór na głosy męzkie, z towarzyszeniem dętych instrumentów, p. t. „Róże“. Dalej poznano orkiestralne prace, jak „Polonez“ i „Mazurek“, oraz kompozycje „Tatry“ i „Alpuhara“. Wszystkie te utwory zakupił nakładca pan Urbanek i wyda je niedługo z pod prasy, czem odda niemałą usługę zbliżeniu się narodu czeskiego i polskiego na polu muzycznem. W przyszłym sezonie urządzi p. Żeleński w Pradze wielki koncert, złożony z jego prac, na który się wielce cieszymy. Kompozytor wziął ze sobą niektóre prace naszych mistrzów, wydane u Urbanka, i obiecał, że wystawi w Warszawie w przyszłym sezonie symfoniczne poezje mistrza Smietany. Przy tej sposobności nadmieniamy, że już nakładem tegoż Urbanka wychodzi drugie czasopismo poświęcone sprawom muzycznym, z dodatkami muzycznemi, pod wzorową redakcją znanego pisarza muzycznego, W. J. Nowotnego. Czasopismo to jest organem prazkiej „Matyci muzycznej“ i w ostatnich czasach podawało sprawozdania z Krakowa, Lwowa i Warszawy, o tamtejszym ruchu muzycznym.

Jest wam to dobrze znanem, jak wielce byłby potrzebnym dokładny słownik polsko-czeski i czesko-polski, właśnie gdy dążymy teraz do jaknajbliższego wzajemnego poznania się. Tuszymy, że nie potrzeba wiele słów tracić na dowiedzenie jego potrzeby. Ośmielimy się więc zwrócić z prośbą do szanownych nakładców polskich, czy też który z nich nie zechciałby wydać tego dzieła własnym nakładem? Byłoby to znaczną pomocą dla Polaków, do poznajomienia się z literaturą czeską, jak też i odwrotnie. *) O moim adresie zgłaszający się łatwo się mogą poinformować w redakcji „Tygodnia“.

Ar. Sch. Polabsky.

*) Najlepiej to odczuwa tłumacz niniejszych listów. (Przyp. tł.)

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ X.

(Traktujący głównie o tem, jak rzadko ludzie umierają z miłości, a jak łatwo umrzeć mogą z głodu).

W naszych realistycznych powieściach, »gdy się rycerze pożenią«, trubadur nie kończy powieści, i nie dodaje, że żyli długo i szczęśliwie. Przeciwnie, mamy teraz powieści i utwory dramatyczne, w których rzecz zaczyna się dopiero po ślubie, a przebieg jej i koniec wyjątkowo chyba bywa szczęśliwy. Między tą drogą a dawniejszym sposobem obieram kierunek pośredni, i umieszczam małżeństwo w trzeciej czwartej części mojego opowiadania, usuwając chwilowo na drugi plan tego z moich bohaterów, któremu nie świeci pochodnia Hymenu.

Dr. Mitręga, będąc na razie tylko w posiadaniu 4000 idealników, pożyczonych od Wołodeckiego, postanowił być oszczędnym i nie urządzać przyszłego swojego domu na tak wielką skalę, jak to pierwotnie zamierzał. Najął więc tylko pierwsze piątro w kamienicy położonej przy jednej z przyzwoitszych ulic Wilkowa, ze stajnią, wozownią i pomieszczeniem dla służby w oficynach. Zaniechał zamiaru sprowadzenia mebli itp. z zagranicy i kontentował się tem, czego mu dostarczyć mogli rzemieślnicy miejscowi, którzy ze swojej strony kontentowali się pewnem *à conto* na swoje rachunki. Niemniej uprzejmym okazał się handlarz koni i powozów, a już wcale uprzedzającym, jubiler, który dostarczył prezentu ślubnego dla przyszłej pani Mitręgowej. Ten wprost oświadczył, że nie przyszle rachunku aż po weselu, od czasu bowiem jak Wilków Wilkowem, nie było wypadku, ażeby nowożeniec przedsiębrał większe wypłaty tego rodzaju, póki mu nie wyliczono posagu, i żaden kupiec nie mógłby się utrzymać, gdyby chciał sprzedawać zawsze tylko za gotówkę. Bardzo także oszczędnym okazał się dr. Mitręga przy najmowaniu służby. Funkcje kamerdynera przeznaczone były z góry Marcinowi, oprócz niego zaś przyjął pan Emanuel tylko jednego lokaja, kucharza i woźnicę, z fraucymeru zaś pannę służącą, pokojówkę, praczkę i dziewkę do kuchni. Jeden kocz, jedna kareta, jedne sanki, para gniadych koni, zaledwie 16tej miary — oto i cała masztarnia; dawniejsze szpaki wraz z dorożką miały jeszcze tylko zawieść pana młodego do ślubu, a potem pójść na sprzedaż, jako zbyteczne.

Przygotowania te zajęły cały adwent, a z początkiem zapust odbył się ślub za indultem, w kaplicy prywatnej arcykapłana wilkowskiego, który błogosławił osobiście młodej parze, i to przedpołudniem, dla angielskiego szyku, jak tego sobie życzył pan młody. Kobiety protestowały wprawdzie mocno przeciw tej innowacji, ale ponieważ jednym z drużbów był hrabia, a drugim baron urodzony z hrabianki, podczas gdy drużkami były córki nader znakomitych hidalgów, więc trudno było upierać się przy dawnych, parafiańskich obyczajach. Omal nie zapomniałem dodać, że prastary ród Siebenzwetschków reprezentowany był przy tej uroczystej okazji wyłącznie przez panią Swatalskę.«

Panna Szlachcińska nie pokazała się wcale, jak powiadano oficjalnie, z powodu przeziębienia, czy przewiania — z powodu, jakiegoś zatargu Minionki z Fidusiem, jak powiadali niektórzy — z powodu, jak mówili jeszcze inni, że pragnęła być drużką, i że ją pominięto przez karygodną nieuwagę. Po ślubie, goście weselni zgromadzili się na śniadanie u pp. Kluszczyńskich, a przed upływem godziny zajechała kareta, która miała nowożeńców odwieść na pocztę, z kąd dalej dyliżansem ruszyć mieli w podróż weselną, jak tego chce obyczaj angielski. Baron urodzony z hrabianki, który raz przez całe trzy tygodnie bawił w Londynie i był powagą w rzeczach tego rodzaju, przypomniał sobie w czas, że tenże sam obyczaj nakazuje rzucać za powozem państwa młodych staremi trzewikami i garściami ryżu, co też uskuteczniono ku wielkiemu zgorszeniu gawiedzi wilkowskiej, sromotnie nieświadomej obyczajów brytańskich i mniemającej, że państwo »tak rano już się popili.«

Przed wyjazdem, odbyła się krótka konferencja między p. Mitręgą a p. Kluszczyńskim. Rzecz godna uwagi, a świadcząca bardzo dobrze o bezinteresowności nowożeńca, że dotychczas nie było mowy o żadnej intercyzie, kontrakcie ślubnym, lub czemś podobnem, między nim a jego teściem. Ogólnikowo tylko powiedzianem było, że panna Natalia otrzyma sto tysięcy posagu. Obecnie zwierzył się p. Kluszczyńskiemu przyszły jego zięć, że potrzebowałby pieniędzy. Na oświadczenie tego rodzaju, szanowny prezes Banku Filodemicznego był, i nie był przygotowanym. Fizjonomja jego przedłużyła się znacznie, rozmaite gesta świadczyły o wielkiem zafrasowaniu się, mimo to atoli jakiś uśmiech dyplomatyczny igrał na jego licach. Począł obszernie wyłuszczać, jak dalece miłość ojcowska czyni go troskliwym o dobro córki, jak wielkie zresztą z jednej strony ma poważanie dla swego zięcia i zaufanie w jego charakterze, ale jak bardzo, z drugiej strony, w dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym w kwestjach pieniężnych, i jak tedy, ostatecznie potrzebowałby zabezpieczenia, że Natalja nic nie uroni ze swojego kapitału. Dr. Mitręga, w odpowiedzi na to, żachnął się dość gwałtownie, i rzekł cierpko, iż o takiem zabezpieczeniu należało mówić przed ślubem, nie zaś uwodzić go nadzieją i wprowadzić w ambaras w chwili wyjazdu za granicę. On, który przez całe życie nie miał nigdy ani grosza długów, zmuszonym będzie teraz zapożyczać się, bo przecież dla kaprysu teścia nie odłoży na później i na śmiech ludzki, projektowanej podróży. Tu pan Kluszczyński, widząc że nie ma innej rady — jak to zresztą po części z góry przewidywał, jął proponować różne wypłaty częściowe, od dziesięciu tysięcy idealników w górę, podczas gdy bezpieczeństwo posagu Natalji miało polegać na tem, że zuaczniejsza jego część zostanie w ręku ojca i dr. Mitręga pobierać będzie po pięć od sta rocznie od tej sumy. W końcu, jak to mówią, krakowskim targiem stanęło na tem, że p. Kluszczyński wypłaci zięciowi 50.000 id. a resztę zatrzyma na procencie u siebie, ale dr. Mitręga da mu pokwitowanie przy świadkach, dajmy na to, przy obecnych w drugim pokoju drużbach. Szanowny doktor nie miał atoli ochoty wtajemniczać tych panów w swoje stosunki finansowe — zważywszy, iż powiedział im był poprzednio w sekrecie, jako posag jego żony wyniesie okrągło pół miljona. Na szczęście zaproszeni byli także na śniadanie pp. Abel i Bandura, radcy dyrekcji Banku Filodemicznego, i ci w tym wypadku zastąpili drużbów. P. Kluszczyński wyjął z biurka kwit od dawna przygotowany i plik papierów, i dr. Mitręga, od dłuższego czasu niecierpliwie spoglądający na zegarek, podpisał w obecności dwóch świadków dokument, który tylko pobieżnie przejrzał, i mocą którego zeznawał, iż otrzymał od Wgo Kluszczyńskiego 50.000 jako posag jego córki Natalji, stosownie do umowy ustnie zrobionej, i że »z sumy tej tytułem posagu gotówką i całkowicie mu wypłaconej.« Wnego Kluszczyńskiego kwituje. Świadkowie byli obecni przy wyliczaniu pieniędzy, które, ku pewnej konfuzji dr. Mitręgi, nastąpiło nie w gotówce, ale w zapisach renty chaockiej — tylko że zamiast 50, wypłacił p. Kluszczyński 62 tysięcy, pięćset, pięćdziesiąt i pięć nominalnych idealników, i chciał wyliczać z ołówkiem w ręku, że to wynosi podług kursu, 50.000 jak uciął. Dr. Mitręga spieszył się atoli coraz bardziej, coraz częściej spoglądał na zegarek, obliczył wię szybko na palcach, że 62555 po kursie $65^1/_2$ za sto wynosi około 50.000 — podpisał kwit i zabrał papiery, nie zajrzawszy nawet do gazety, w której kurs renty płatnej w srebrze notowany był rzeczywiście po $65^1/_2$ ale kurs tej samej renty płatnej w papierach, figurował tylko w sumie 55 idealników i mizeraków pięćdziesiąt. Nie zawadzi dodać, że zapisy, które otrzymał opiewały na rentę papierową.

Czego się tak spieszył, dokąd się tak spieszył dr. Mitręga? Według przawideł angielskiego *high-life*, powinien był spieszyć albo do dóbr własnych, albo do dóbr żony, albo nakoniec, nad morze Śródziemne, do Nizzy, do Monaco, do Neapolu itp. Należy atoli zważyć, że zima w Milicji nie sprzyja pobytowi na wsi, że zresztą majątki dr. Mitręgi były wydzierżawione, a trudno, jak mówił, rugować biednych dzierżawców w styczniu, w czasie najtęższych mrozów. Nad morze Śródziemne znowu, z Milicji jest bardzo daleko — państwo Mitręgowie spieszyli tedy na karnawał do Krachenburga. W pierwszej linji atoli, spieszył dr. Mitręga na stację pocztową, ponieważ dyliżans odchodził o dwu-

nastej, która za pół godziny wybić miała, i ponieważ na drugą popołudniu zamówił był do nowego swego pomieszkania swoich dostawców z rachunkami, jakoteż pewnego dyskretnego przyjaciela, nie politycznego, ale finansowego, o którego egzystencji dotychczas nikt w Wilkowie nie wiedział. Namyśliwszy się zaś, że podobne nudne sprawy załatwić można nierównie lepiej po powrocie z podróży, niż na wyjezdnem, postanowił szanowny doktor uniknąć spotkania i przedewszystkiem, nie spoźnić się do dyliżansu.

Ale: człowiek strzela, a — Marcin tłumoki wozi. Marcin miał polecenie, przy pomocy szpaków, które tym sposobem oddać miały niejako ostatnią usługę swojemu dotychczasowemu panu, zawieść na pocztę pakunki państwa Mitręgów, ażeby się sam doktor niemi kłopotać nie potrzebował. Ów zaś przyjaciel finansowy p. Emanuela, niemniej jak jubiler i dostawca ekwipażów, pałając chęcią oglądania nowo skojarzonej młodej pary, zamiast o drugiej popołudniu, już od jedenastej rano krążyli ulicą, przy której znajdowało się nowo urządzone pomieszkanie. Spostrzedz emigrację tłumoków, rozmówić się z Marcinem, i dowiedzieć się o zamierzonym wyjeździe pp. Mitręgów zagranicę, było dla nich rzeczą naturalnego instynktu, którym indywidua tego rodzaju szczególnie są obdarzone. Ztąd też, gdy państwo młodzi wysiadali na stacji, oprócz kapelusza z galonem, który uchylił przed nimi lokaj otwierający im drzwiczki, uchyliły się poważnie i bez afektacji jeszcze trzy inne kapelusze bez galonów, i dr. Emanuel zaledwie tyle miał przytomności umysłu wobec tej niespodziewanej demonstracji, iż wprowadził żonę do sali, usadowił ją koło pieca i wytłumaczył się na prędce, że spostrzegł kilku klientów Banku Filodemicznego, z którymi przed wyjazdem koniecznie pomówić musi, — przeprasza ją tedy, i zaraz wróci.

Rozmowa z tymi klientami, która nastąpiła w drugim końcu sali, a której p. Mitręgowa nie słyszała, była z początku dość ożywioną ze strony jeneralnego dyrektora Banku, ale po chwili ożywienie udzieliło się klientom, a dyrektor wpadł w głęboką zadumę. Rzecz miała się — nie obwita w bawełnę — tak: Jubiler żądał 2,000 idealników, i to natychmiast. Dostawca ekwipażów, 3,000 i to jeżeli można, prędzej niż natychmiast, bo zabierze karetę i konie. Przyjaciel zaś »finansowy«, znajdujący się raptem, ni z tąd ni z owąd, w posiadaniu dokumentów powierzonych niegdyś przez dr. Mitręgę różnym innym przyjaciołom finansowym, żądał 24.000 jak skoro mogą być odliczone, bo zabierze już nie ekwipaż, ale samego doktora, przy pomocy inspektora policji, i w dodatku zrobi skandaliczną scenę. Jubiler nie groził niczem, ale obecność jego starczyła za ultimatum. Wobec potrójnej presji tego rodzaju, daremnem było powoływać się na brak czasu najpierw, a następnie na brak gotówki i na trudność spieniężenia zapisów renty chaockiej na stacji pocztowej. Przyjaciel finansowy podejmował się »wydać resztę« w okamgnieniu; miał nawet przy sobie urzędowy wykaz kursów giełdowych. Tym razem, dr. Mitręga wziął ołówek do ręki, nie prędzej atoli, aż wskutek zapytania swego przyjaciela finansowego przekonał się, że ma w kieszeni zapisy renty papierowej, a nie srebrnej.

Niestety! Kilkakrotna multyplikacja, na różne sposoby powtarzana, wydawała zawsze ten sam rezultat: $62{,}555 \times 55.50 = 34{,}718.025$, czyli, innemi słowy, do 50,000 idealników, niedostawało 15,281 i mizeraków 97 i pół! Jubiler, makinion i przyjaciel finansowy wzięli razem 29,000 — zostało więc na podróż do Krachenburga idealników pięćtysięcy siedmset ośmnaście i $2\frac{1}{2}$ mizeraka. Teraz dopiero dr. Mitręga usiłował przypomnieć sobie, jak opiewał kwit, który podpisał panu Kluszczyńskiemu, ale na nieszczęście, dokumenta prawne mają tę własność, że jeżeli się nie ma przed sobą dosłownego ich brzmienia, to lepiej nie łamać sobie głowy i nie przypominać, co zawierały. To wszakże było pewnem, że 62,555 renty nawet srebrnej, po kursie $65\frac{1}{2}$ nie wynosiło 50,000, ale zaledwie 40 tysięcy i coś przeszło 900 idealników gotówką — co teraz, mając ołówek w ręku, dr. Mitręga natychmiast obliczył. Widocznie tedy zaszła tu kolosalna pomyłka ze strony pana Kluszczyńskiego. A kto wie, może pomylił się rozmyślnie? Ba, przecież świadkowie muszą pamiętać, że odliczył 62,555 zapisami renty chaockiej, mniejsza o to, jakiej. W najgorszym razie, stracę około 6000 idealników, pomyślał szanowny doktor. Prawda, że ci przeklęci lichwiarze zabrali mi prawie wszystko, co miałem, i że z całego posagu zostaje mi zaledwie kilka tysięcy, oprócz tych 2500 rocznie, które stary ma płacić. Ba, ale mogę go sprocesować; a zresztą, od czegoż Bank Filodemiczny? Swoją drogą zdaje mi się, że wlazłem w rodzinę oszustów.

— Do Sokołowa, Triebstrillu, Krähwinkel, Krachenburga — konie czekają! — zawołał w tej chwili konduktor pocztowy.

— *Entendez - vous*, Maniu? — odezwała się pani Natalja, trącając go w ramię.

— *Ah c'est vous, ma... chère!* — odparł i spojrzał na nią z wyrazem miłości nierównie mniej tkliwym, niż przed stoma minutami, w kaplicy arcykapłana.

I tak tedy, rozmawiając półgębkiem po francusku, a w duszy na całe gardło klnąc po milicyjsku, dr. Mitręga z żoną wyjechał na karnawał do Krachenburga.

(C. d. n.)

Uroczystość artystyczna w Monachium.

W Monachium, w tych współczesnych Atenach sztuki niemieckiej, odbywa się w tej chwili wielki festyn artystyczny.

Powołano ze wszystkich stolic szerokiej Germanji najlepszych aktorów celem wykonania tak dobranemi siłami kilkunastu wzorowych przedstawień sztuk klasycznych.

Rozpoczęły się one dnia 1. b. m.

Celem przedstawień jest zmierzenie poziomu, na którym sztuka sceniczna obecnie w Niemczech stoi i wyśledzenie charakteru zbiorowego, jaki nosi?

Jestto bowiem gorącą ambicją Niemców, aby doszukać się rysów do związania ich w pojęcie osobnej narodowo-niemieckiej szkoły scenicznej.

Mają oni w swoich kilkuset teatrach niewątpliwie sporo dobrych aktorów, mają na kilkunastu dworskich scenach talenty istotnie najpierwszej miary, czy jednak klasyczne widowiska w Monachium dowiodą, iż posiadają to, za czem wzdychał jeszcze Lessing w »*Hamburskiej dramaturgji*« (1767) — szkołę niemiecką w sztuce aktorskiej, ów styl zbiorowy, cechujący teatr niemiecki, jaki posiadają Francuzi — o tem powiedzą nam dopiero rezultaty...

My zaś wolimy dzisiaj przypatrzyć się składowi tej wybornej trupy, złożonej chwilowo przez intendenta królewskiego teatru w Monachium z koryfeuszów najpierwszych scen Niemiec.

Ponieważ zaś utyskiwania wszystkich estetyków niemieckich jednoczą się w tem właśnie pesymistycznem twierdzeniu, iż nie ma u nich dotąd owej *par excellence* narodowej szkoły w dostojnej sztuce plastycznego odtwarzania chrarakteru namiętności ludzkich na scenie, a są tylko szkoły lokalne, jak berlińska, wiedeńska, drezdeńska i t. p. — nie od rzeczy będzie naszkicować tu kilkoma słowy historję rozwoju każdej z tych scen, wiążących się w ogólny obraz działalności scenicznej współczesnych Niemiec.

Tem to może być potrzebniejszem, iż wskutek owego wyrobienia się szkół lokalnych, przedstawiciele każdej ze scen są przedstawicielami jednej z metod artystycznych, znanych w Niemczech pod nazwą: „szkoła berlińska, weimarska, wiedeńska“ i t. p,

Z Berlina przysłano sławną Frieb - Blumauer tudzież Berndala, Krausego i Oberländera.

Jak na wszystkich scenach dworskich tak i w Berlinie ciężką w połowie zeszłego wieku stoczyć musiała walkę sztuka narodowa z teatrem francuskim i operą włoską; francuski gust i język zaszczepił tu sam Fryderyk Wielki; wycieńczone wojnami szląskiemi mieszczaństwo berlińskie nie miało funduszów na założenie osobnego teatru, któryby równoważył tę wytworną gallomanję dworu.

Nareszcie w r. 1786 po śmierci Fryderyka W. do starego domu komedji francuskiej na „placu żandarmów“ wprowadzono „teatr narodowy“ wyznaczając mu subwencją w kwocie 6000 talarów.

Dopiero wszakże od r. 1796 od chwili, gdy Iffland, powołany z Mannheimu, objął jego dyrekcję, teatr berliński począł grać cywilizacyjną rolę na niwie sztuki niemieckiej; wśród najtrudniejszych politycznych i wojennych burz sterował Iffland wzorowo nawą teatru, aż do r. 1814, wytwarzając tam jednolitą tradycję sztuki aktorskiej, której ślady do dzisiaj są widoczne.

Zasadą jego była trzeźwość, jasność i prostota w grze, a okazałość w *mise en scène;* tak więc koronacyjny pochód w szylerowskiej „Dziewicy Orleańskiej“ przedstawiono z niepamiętnym naówczas w Niemczech przepychem, ale natomiast wspaniałe jamby Szylera przekształcono w suchą mieszczańską dykcję prozy; Iffland wprowadził w tragedję ton konwersacyjny.

Po śmierci Ifflanda „teatr narodowy“ prze-

*

kształcono w zupełny teatr dworski i stworzono intendenturę, którą piastowali kolejno: hr. Brühl, hr. Redern, Küstner i dziesiejszy — jubilat już, p. von Hülsen.

Nie pozostawili oni śladu swych indywidualności w tradycjach gry berlińskiej, bo na to potrzeba być artystycznym kierownikiem, żyjącym w ciągłem powinowactwie i bezpośredniem zetknięciu z drużyną, którą się prowadzi do scenicznych bojów i zwycięztw; intendenci berlińscy byli dotąd tylko urzędnikami.

Pomimo tego nie brakło scenie berlińskiej znakomitych aktorów, jak Ludwik Devrient, Seidelmann, Döring, Dessoir, Karolina Hagen, Crelinger — Stich i inni; ale te nawet wyższe talenta owiane atmosferą miejscowego teatru, nie wywarły trwalszego wpływu na kolegów i nie stworzyły szkoły.

Do dzisiaj znamionami nadwornego teatru berlińskiego są: wystawa okazała i pełna stylu, pielęgnowanie dramatu mieszczańskiego i komedji, poprawna i naturalna gra, ale przytem oschłość i brak poezji w rozwiązaniu idealniejszych zadań teatru.

Z Drezna przybyli: pani Ellmenreich, pan Ulrich i p. Dettmer.

Tu dopiero w r. 1816 dwór pomyślał o stałej siedzibie Muz, którą opiekowało się dotąd wyłącznie zamożne mieszczaństwo; na „dramaturga" teatru powołano wśród radośnego uniesienia całych Niemiec wielkiego znawcę sztuki, a tłomacza Szekspira — Ludwika Tiecka.

Ale Tieck okazał się na gruncie praktycznej działalności ideologiem i doktrynerem; nie pozostało po nim nic w Dreznie, oprócz pamięci kwasów i nieporozumień pomiędzy dążącym do najwyższych ale niedosięgnionych rezultatów kierownikiem, a realnie pracującymi na swój chleb aktorami.

Piętno szkole drezdeńskiej wycisnął natomiast wielki aktor, Emil Devrient.

Piękność form w ruchu i geście, śpiewny patos w deklamacji, gra łagodnie cieniowana, wielkich jaskrawości pilnie unikająca, poetycznie słodka — upajała w swoim czasie Drezno i całe Niemcy; łatwo ta „szkoła drezdeńska" mogła popaść w przesadę ckliwości i ogłady — uratował ją krzepki, szorstki naturalista, Polak Dawizon, podówczas grywający w Dreznie.

Teatr królewski w Monachium dostarczył głównego kontygensu aktorów klasycznym widowiskom — niepodobna wyliczać nazwisk, bo trzebaby przepisać listę personalu monachijskiego; wszakże, jak gospodarstwo ustępują gościowi pierwszego miejsca w domu, tak aktorowie monachijscy przyjęli najskromniejsze role w turnieju.

Monachium dopiero od chwili, gdy taki smakosz piękna, jak dzisiejszy król Ludwik, przyjął teatr pod swoje skrzydła, powierzając ster jego wysoko estetycznie wykształconemu baronowi Perfall, a reżyserję energicznemu Possartowi, zaczyna grać wybitniejszą rolę w dziejach niemieckiego teatru.

A nareszcie ten wielki, czcigodny »*Burgtheater*« wiedeński.

Z trupy jego, będącej chwałą Niemiec, udali się do Monachium, panie: Wolter, Wessely i Strassman, a z mężczyzn Krastel, Robert, Lewinsky i Sonnenthal.

Założył ten słynny teatr cesarz Józef II i odtąd wszyscy monarchowie austrjaccy liczyli do zaszczytów swego panowania troskliwą pieczę o ukochany swój »*Burg*,« jak w skróceniu nazywają Wiedeńczycy sędziwy teatrzyk na placu św. Michała.

Początkowo ścierały tu się szorstko dwa kierunki: afektowna, deklamatorska maniera Francuzów i trywialny, gminny akcent humoru wiedeńskiego.

Schröder, wstąpiwszy na deski tej sceny, zlał obydwa kierunki w doskonałą, harmonijną całość.

Trzy epoki liczy »*Burg*« wiedeński: epokę Schreyvogla, który wprowadził repertuar klasyczny i stworzył styl idealny w jego przedstawieniu; epokę Laubego, który z przedziwną energją i czerstwością sił wyrobił nową szkołę aktorów i nowe talenta pisarskie, i nareszcie epokę dzisiejszą Franciszka Dingelstedta, którego działalność cechują: delikatne poczucie sztuki, poetyczny nastrój w grze aktorów, troskliwość drobiazgowa w *mise en scène*, pełna erudycji w sztukach historycznych.

Z innych scen niemieckich przybyli do Monachium: Barnay z Hamburga, Holthaus z Hanoweru, Lange z Karlsruhe, Wentzel ze Stuttgardu i pani Keller z Mannheimu

Tylko Weimar, ta akademja dramatyczna Niemiec z czasów Goethego, nie ma swego przedstawiciela na popisie monachijskim.

Nareszcie wymienić należy dr. Förstera, niegdyś aktora z »*Burgu*«, a obecnie dyrektora teatru miejskiego w Lipsku; Sygwarta Friedmana, do ostatnich czasów artysty teatru miejskiego w Wiedniu i Fryderyka Haasego, honorowego członka sceny drezdeńskiej; obydwaj ostani nie przywiązani są dzisiaj stale do żadnej sceny, ale wożą za sobą rydwan Tespisa po całej Germanji..

Repertuar przedstawień klasycznych, które będą trwały do 21. b. m., stanowią: „Mina z Barnhelmu", „Emilja Galotti" i „Natan Mądry" Lessinga — „Clavigo", „Egmont" i „Torkwato Tasso" Goethego — „Intryga i miłość", trylogja „Wallenstein" i „Wilhelm Tell" Szylera — „Stłuczony dzbanek" Kleista — „Juljusz Cezar", „Makbet", „Powieść zimowa" i „Hamlet" Szekspira.

W ostatnich dniach jeszcze powzięto myśl dodania „Strzelców" Ifflanda i „Ducha niezgody" (*Störenfried*) Benedixa.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Nowy minister. Fakultet medyczny we Lwowie. Wystawa sztuk pięknych. Teatr. «System pana Macieja« W. hr. Koziebrodzkiego. Stracenia we Lwowie).

Aby w ten szalony, nieznośny, iście zwrotnikowy upał siedzieć we Lwowie — w ubiegłą niedzielę notowano +24 R. — trzeba być artystą, murzynem teatru Skarbkowskiego, lub kronikarzem *Tygodnia*. Jest to męczarnia która fatalnie przynosi z sobą brak apetytu i humoru, senność i zaniedbywanie obowiązków. W tem pożałowania godnem usposobieniu, Lwowianin emigruje do jednego z ogrodów, w które na szczęście gród nadpełtwiański bardzo obfituje. Kierunek wychodźctwa stosuje się według pozycji spolecznej i temperamentu każdego „osobnika", mówiąc stylem dawnej rady miejskiej. I tak: emeryci siadają w melancholijnej pozie na ławkach zamkowej góry, finansowa *haute-volée* semickiego pokolenia i dandysi z za stołów biurowych i z za lady paradują w ogrodzie miejskim, głodni pesymiści dążą na samotną Pohulankę, poeci szukają natchnienia w kwaśnem mleku na Zofjówce, a członkowie nowej rady miejskiej konspirują głośno i huczno za rogatką żółkiewską. Czasami tylko wszystkie te figury łączą się w jednem ognisku, a dzieje się to zawsze wówczas, kiedy sążniste plakaty ogłoszą festyn lub zabawę ogrodową z nieodzownym ogniem bengalskim i innemi hokus-pokusami.

Wtedy najprzód wszyscy gotują się do wspólnej emocji, w martwym sezonie bardzo pożądanej: mianowicie mogą kląć, na czem świat stoi, jeżeli deszcz rozpędzi wycieczkę z strojnymi komitetowymi na czele. Jeżeli zaś pogoda sprzyja wycieczce, to wszyscy nudzą się kapitalnie: emeryt z powodu, że trzy córki jego siedzą na murawie jako trzy gracje kamienne, a żaden motyl w modnym tużurku nie muska ich warkoczy — pesymista z Pohulanki z zawiści, iż koryfeusze wycieczki głośnym śmiechem i wybijaniem hołubców na trawie dają dowód swego istnienia — poeta z rozczarowania, kiedy dama jego serca, którą właśnie podnieść chciał do wysokości ideału, palnęła sentencję, używaną z powodzeniem przy zastosowywaniu przepisów pani Ćwierczakiewiczowej — a członek nowej rady z niezadowolenia, że nie może zrobić borby magistrackiej na wzór pewnego profesora, który u niego jest arcymistrzem mądrości. Wieczorem w gremialnym pochodzie wszystko rusza do miasta, ażeby cały tydzień jeść ogórki, oddychać kurzem i przebierać się co dnia w świeżą bieliznę, notabene jeżeli kto w nią obfituje.

* * *

Głównym tematem anegdotek, historyjek, koleżeńskich zachwytów, życiorysów różnie zabarwionych, jest nowomianowany minister rodak. Sprawa to istotnie interesująca pod każdym względem i nic dziwnego, że bawiącemu obecnie u nas ministrowi ciekawie się wszyscy przyglądają. Ileż to nadziei związanych z tą nową nominacją! Naprzykład fakultet medyczny we Lwowie. Rzecz ta teraz mogłaby być uważaną prawie za załatwioną. Przecież Rada Państwa uchwaliła rezolucją, wymagającą zaprowadzenia tego wydziału na lwowskim uniwersytecie. Pan minister Dunajewski głosował sam za nim. Dziś od niego wprowadzenie tej instytucji w życie najzupełniej zależy i niedługo powinniśmy o tej sprawie coś nowego usłyszeć. Że położenie nowego ministra jest nieco kłopotliwe — to wątpliwości żadnej nie podlega. Jak Hamlet musi walczyć między przywiązaniem do *almae matris* krakowskiej, której jest członkiem, a potrzebą wypełnienia obowiązku względem uniwersytetu lwowskiego, co jest połączone z oczywistą szkodą medycznego wydziału w Krakowie. Te walki rozmaitych urzędów, godności, wydziałów, sympatyj, muszą być szczególnego rodzaju I tak np. *Poseł Dunajewski* sądzi, iż gdy głosował za rezolucją, więc powinien konsekwentnie starać się o jej wypełnienie. *Rektor Dunajewski* uważa, że otwarcie wydziału medycznego we Lwowie uszczupliłoby znacznie grono wychowańców krakowskiej wszechnicy. *Minister Dunajewski* sądzi, że w kasie państwowej okropny brak kapitałów. *Pan Juljan Dunajewski, jako taki,* łamie sobie

głowę nad tem, jak pogodzić tę walkę sprzecznych żywiołów, przez wyprowadzenie syntezy, wszystkich zadawalającej. Przypomina to „Burzę pod czaszką“ z powieści Wiktora Hugo. Oby ta synteza jak najprędzej na jaw wyszła. O ile sobie przypominamy, w rezolucji uchwalonej mieści się żądanie, aby fakultet medyczny już od października stał się rzeczywistością. Naturalnie, że fizyczna niemożliwość staje temu na przeszkodzie. Lecz im się wcześniej kroki przedwstępne rozpoczną, tem lepiej.

W związku z tą sprawą, obiega i utrzymuje się uporczywie we Lwowie pogłoska, jakoby uniwersytet miano przenieść do gmachu szkoły politechnicznej, bo tam dla powiększonego wydziału medycznego, więcej byłoby miejsca.

Otóż pogłoska ta jest najzupełniej błędną, bo nietylko iż w gmachu politechniki nie ma więcej miejsca, niż w uniwersyteckiem zabudowaniu, lecz, przeciwnie, mniej bez porównania. Gmach przedstawia się na zewnątrz wielkim, lecz przy budowie jego uwzględniano tylko mniejszą liczbę słuchaczy i robiono plan, mając ciągle na uwadze wymagania, którym szkoła techniczna odpowiedzieć winna. Na czterofakultetowy uniwersytet, potrzebaby było drugiego takiego gmachu.

* * *

(B) W przeciągu kilku ostatnich dni, wystawa nasza prawdziwie wzbogaconą została. Niemylnem więc było nasze przypuszczenie, któremuśmy dali wyraz w jednym z ostatnich numerów, że wkrótce wystawa nasza w prawdziwie zajmujący salon się zamieni. Nasamprzód zwrócić się należy do nieżyjących, których karta sztuki polskiej na pierwszorzędnem miejscu położyć musi. Mówimy tu o pośmiertnej wystawie prac nieodżałowanej pamięci Aleksandra Gryglewskiego, znakomitego perspektywisty, o którego obrazach wspominaliśmy w poprzednich sprawozdaniach. Ponieważ jednak wystawa ta, tak liczbą jak i treścią, zmusza do kilkukrotnego widzenia tych arcydzieł, odkładamy przeto sprawozdanie nasze do numeru przyszłego. Drugą z rzędu wystawą pośmiertną jest sześć szkiców z gliny palonej śp. Edwarda Błotnickiego. Kilka tych figurek, z prawdziwym talentem i z szczególną charakterystyką, aż do przesady, schwyconych, rozweselają widza i, nie pozwalając nawet krytykować siebie, zadawalają swoją swobodą, życiem tryskającem i nader trafną charakterystyką.

Między innemi świeżo wystawionemi pracami na szczególną uwagę zasługuje portret pani Modrzejewskiej, pendzla p. Tadeusza Ajdukiewicza. Portret ten przedstawia genjalną artystkę w naturalnej wielkości na tle gobelinowem, od którego długa biała suknia atłasowa wybornie odbija. W lewej ręce książka, prawa swobodnie na dół spuszczona, głowa lekko z wdziękiem zwróciła się na prawo. Pies i kwiaty rozrzucone dopełniają kompozycji. Układ portretu wyborny, pełen smaku, koloryt naturalny, ogół dobry. Nie na tem jednak tylko wolno panu Ajdukiewiczowi poprzestać, od artysty tego winniśmy wymagać aż do najdrobniejszych szczegółów posuniętej sumienności w rysunku, którego sobie nigdy lekceważyć nie wolno, a następnie inteligencji, którą wykończenie zdradza. Figura pani M. nie stoi dobrze, zbyt mała głowa nie licuje z przesadnie długą figurą, a wykończenie jest zbyt pobieżnem. Atłas jest za ciężki, a dywan wraz z książką i innemi akcesorjami, czekają jeszcze na wykończenie.

Od talentu p. Ajdukiewicza więcej nam się należy, i tylko ze względu na to, czuliśmy się zobowiązani, tę szczerą prawdę wypowiedzieć.

P. Sidorowicz nowy nadesłał obrazek p. t. „Z namysłem“. Byłby to prawdziwie nader miły pejzaż, gdyby nie pewna pretensja rodzajowości, która z tego powodu zniewoliła zapewne artystę do formatu nieodpowiadającego sile jego kolorytu. Inny widoczek pendzla tegoż artysty, znacznie mniejszy, robi nader miłe wrażenie; obrazek, o którym mówimy, zbyteczną trąci słodyczą. Pp. Szolc i Łączyński obrobili jeden i ten sam temat; są to widoki z rozkosznej okolicy Porto d'Ancio. p. Szolc zrobił wcale dobre studjum, fragment, dający się z powodzeniem do dekoracji teatralnej użyć, P. Łączyński zaś dał krajobraz z widokiem na miasteczko Netunno, ale chyba na to, aby przekonać, że nie wszystko, co się w naturze znajduje, można na płótno przelać.

W dziale akwarel przybyły dwa obrazki Juljusza Kossaka, tyczące się historji rodu Drohojowskich Jeden z nich przedstawia Drohojowskiego Tomasza, zabitego na cmentarzu przez Stan. Stadnickiego; drugi Drohojowskiego Jana, ofiarowującego królowi Zygmuntowi II. konia przecudnej urody. Pierwszy, pełen tragicznej grozy, jaką artysta przedstawić umiał, jest małem arcydziełem.

* * *

Wystawiono w teatrze oryginalną komedję W. hr. Koziebrodzkiego p. t. „System pana Macieja“; wystawiono raz jeden i pogrzebano na zawsze. Dziwna to rzecz zaiste i nie do pojęcia, jak ci, którzy sztukę czytali, a od których zależnem było wystawienie, mogli dopuścić coś podobnego na scenę i wyrządzić tak wielką krzywdę autorowi. Trzeba było przecież mieć trochę dobrego serca i wytłumaczyć z góry p. hr. K., iż komedja jego jest po prostu niemożliwą i że wystawienie jej, jest narażeniem się na nieuchronne fiasco. Co popchnęło dyrekcję do wystawienia rzeczy tak słabej, że była aż śmieszną? Czyż nie rozumie tego, iż sama sobie tem szkodzi? Przecież od niej całkowicie zależało wystawienie lub odrzucenie komedji, a nie wątpimy, iż tyle się rozumie na rzeczy, że potrafi odróżnić rzeczy dobre od zupełnie niemożliwych.

Wznowiono także w ubiegłym tygodniu „Szklankę wody“ Scribego. Trzeba oddać sprawiedliwość, że przygotowano tę sztukę ze starannością bardzo wielką, co na szczególne uznanie zasługuje wobec przerażających pustek w teatrze.

* * *

Znowu stracono we Lwowie przez powieszenie dwóch ludzi. Na kilkadziesiąt straceń rocznie w Europie, na nasze miasto przypadł dość znaczny procent tego roku. Mówimy tu tylko o zbrodniarzach pospolitych a nie politycznych. Zamordowanych w Rosji rewolucjonistów było aż nadto wiele.

Przy straceniu żołnierzy we czwartek rano niemile uderzało wszystkich obecnych zachowanie średniowiecznych formalności przy wykonaniu wyroku na podwórzu koszarowem. Kara śmierci albo ma rację bytu, albo też nie ma. Wszyscy wiedzą, że istnieją sposoby zrobienia niebezpiecznych członków społeczeństwa nieszkodliwymi na zawsze. Jeżeli się więc zamiast ścisłego zamknięcia, przeznacza im karę śmierci, to chyba dla dania odstraszającego przykładu innym. Tymczasem dokonywa się tej operacji w zamkniętych miejscach, w obecności nie wielu wybranych, a więc dla kogoż ma służyć za przykład ostraszający taka kara? Jeśli więc wykonawcy sprawiedliwości, powodując się ustępstwem dla ludzkich uczuć tłumu, nie tracą złoczyńców na miejscach publicznych, to pocóż wykonywając zgładzenie zachowują *intra muros* ostentację starodawną? Dla czyich oczu to czynią? Po co te wszystkie teatralne upiększenia?

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

za miesiąc czerwiec.

— *Babel Bronisław.* Przyszłość Krynicy. 8ka str. 31. Lwów 1880. 30 ct.

— *Baranowska Agn.* Starcowie. Obrazek dramatyczny z pierwszej połowy XI. wieku. 8ka str. 141. Poznań 1880. 1 złr. 80 ct.

— *Bartoszewicz Juljan.* Szkice dziejów kościoła ruskiego w Polsce. 8ka str. 493. Kraków 1880. 4 złr.

— *Bogorya Jarosław.* Dwa pojedynki. Powieść. 8ka str. 138. Kraków 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Czubski Jan.* Śpiewnik polski dla ochronek, szkół ludowych i wydziałowych. Część I. dla ochronek i klasy I. 8ka str. 47. Lwów 1880. 40 ct.

— *Dunikowski Emil Lucjan dr.* Rzut oka na stosunki geologiczne Galicji wschodniej. 8ka str. 96. Lwów 1880. 75 ct.

— *Gromnicki Tadeusz ks.* Święci Cyryl i Metody. 8ka str. 239. Kraków 1880. 3 złr.

— *Horwat Anna.* Pieniądz czy osoba. Komedja w 3 aktach. 8ka str. 119. Toruń 1880. 90 ct.

— *Kantecki Klemens.* F. M. Ossoliński, podskarbi w. koronny. Wydanie drugie znacznie pomnożone. 8ka str. 103. Lwów 1880. 1 złr. 20 ct.

— *Kubala L. dr.* Szkice historyczne. Serja II. 8ka str. 323. Lwów 1880. 3 złr. 40 ct.

— *Ochorowicz Juljan dr.* Szkice teorji objawów szczątkowych. 8ka str. 21. Lwów 1880. 10 ct.

— *Ollendorff.* Gramatyka francuska, trzecie poprawne wydanie opracowała i przerobiła Stefanja Wechslerowa. 8ka str. 336. Lwów 1880. 2 złr. 40 ct.

— *Pałuczanin Ksawery.* Młynarz. Obrazek dramatyczny w 2 aktach prozą. 8ka str. 44. Poznań 1880. 45 ct.

— *Schwartz Z. M.* Bratowe. Powieść. Przekład T. Szumskiego. 8ka str. 230. Lwów 1880. 2 złr.

— *Skrochowski Ignacy.* O wiedzy ludzkiej. 8ka str. 263. Kraków 1880. 2 złr. 70 ct.

— *Stadnicki Kaźmierz.* O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce. 8ka str. 98. Lwów 1880. 80 ct.

— *Szwajkart Stanisław.* Krótki rys matematyki na podstawie nauki o ilościach przestrzennych i o układach liczb. Zeszyt I. O układach liczb i działaniach takowymi. 8ka str. 87. Lwów 1880. 55 ct.

— W co bawić się będziemy? czyli zbiór gier, zabaw i rozrywek, szczególniej dla młodocianego wieku poświęcony. 8ka str. 96. Kraków 1880. 60 ct.

— *Wodzicki Kaźm. hr.* Zapiski ornitologiczne V. Wróbel. 8ka str. 80. Kraków 1880. 75 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Sewer zaczyna w Warszawie wchodzić w modę. Gazeta Polska po ukończeniu powieści jego p. t. „Bratnie dusze“, rozpoczyna drukować „Wywróżona“. Echo drukowało niedawno „Cztery dni w Baden-Baden“, a teraz zapowiada nową powieść, Wiek zapowiada nowellę Sewera p. t. „Sielanka“. a Ateneum „Szkice z Anglji“ (których część drukowaną była w Tygodniu), oraz powieść ludową „Przybłędy“; nareszcie Gazeta Rolnicza drukuje nowellę gospodarską p. t. „Moje gospodarstwo“. Nadto dowiadujemy się, że autor „Zabiegów“ kończy nową komedję, w której bohaterka narysowaną jest na miarę talentu p. Wisnowskiej.

*** Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszło dziełko p. t. „Literacki i polityczny spadek po A. Wielopolskim.“

*** „Studien über die Judenfrage.“ Von einem Geächteten. Pod tym tytułem wyszedł we Lwowie pierwszy zeszyt dziełka, traktującego kwestję żydowską.

*** Brak zupełny zbioru pseudonymów, któryby objaśniał tę materję ze stanowiska bibljografii, oddawna czuć się dawał.

Pan Minkowiecki, pracujący wytrwale w tym zakresie, obrobił alfabetyczny spis pozycji, który niezadługo ujrzy światło dzienne w jednem z pism warszawskich.

Ma to być owoc pięcioletnich trudów!!

P. Minkowiecki, o ile słyszeliśmy, zajmuje się obecnie zbiorem kryptonymów (ukryte nazwiska pod literą lub znaczkiem).

Jest to niewdzięczna, lecz bardzo użyteczna praca.

*** P. Wincenty Rapacki napisał nowy dramat wierszem białym p. t. „Herszt“.

*** Pismo półurzędowe polsko - niemieckie „Szląsk“ z braku poparcia upadło.

*** W Paryżu ukazał się pierwszy tom nowego zupełnie wydania dzieł Wiktora Hugo, zawierający ody i ballady: zaczyna się przedmową poety.

*** „Lanterne“ donosi, iż Henryk Rochefort po powrocie do Paryża założy nową gazetę, której egzemplarz sprzedawany być ma po 2 sous.

*** W Paryżu ukazało się nowe pismo „Avenir diplomatique“; kierownictwo objął Antonin Proust, naczelną redakcję E. Hippeau.

*** W Peszcie, z inicjatywy Maurycego Jokaja, odbyła się konferencja. Przedmiotem jej było utworzenie towarzystwa, którego celem byłoby podniesienie literatury węgierskiej. Jokaj wykazywał smutny stan literatury węgierskiej i przedstawiał odpowiednie środki do zmiany na lepsze. Konferencja przyjęła projekt Jokaja względnie do literackiej strony. W czasie posiedzenia podpisano 20.000 guldenów.

*** W Londynie obchodziło towarzystwo pomocy literatów (Newspaper Press Fund) doroczną uroczystość pod przewodnictwem księcia Manchestru. Obecni byli na zebraniu: poseł grecki, jeneralny konsul perski, członkowie obydwu izb parlamentu, jenerał sir Garnet Wolseley i inni dostojnicy wojskowi, oraz naczelni redaktorowie i współpracownicy większych gazet. Przewodniczący wykazywał korzyści płynące z towarzystwa i podnosił małą stosunkowo ilość jego członków, 402 osób wynoszącą. Dochód z bankietu wynosił 1100 funtów szterlingów.

*** Według urzędowego zestawienia tureckiego biura prasowego, wychodzi w Konstantynopolu 72 gazet i czasopism, z tych 30 codziennych. Według języków, 16 czasopism redagowanych jest po turecku, 2 po arabsku, 20 po francusku, 12 po grecku, 13 po armeńsku, 3 po bulgarsku, 2 po hiszpańsko-żydowsku, po jednem czasopiśmie ukazuje się w językach: perskim, włoskim i angielskim. Z pism wydawanych w języku nie tureckim, odznaczają się: „Turquie“, „Levant Herald“, „Courrier d'Orient“ i „Phare du Bosphore“.

*** Bibljoteka warszawska w zeszycie na miesiąc czerwiec r. b. zawiera: I. Przegląd najnowszej literatury włoskiej, przez Juljana Adolfa Święcickiego. II. Od szkolnej ławy. Opowiadanie z lat 1798—1813, przez Kajet. Kraszewskiego. III. Tunel św. Gotarda, skreślił Władysław Mazurkiewicz. IV. Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego. V. Z dziedziny przyrodoznawstwa, przez T. Skomorowskiego. VI. Kronika paryska, literacka, naukowa i artystyczna. VII. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego, przez Juljana Bartoszewicza: Historja pierwotna Polski. Tomów IV. 1878, 1879. Kraków. Tom I. str. 500: t. II. str. 522; t. III. str. 450; t. V. str. 336. Przez A. Tyszyńskiego. VIII. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.

*** Gazeta Rolnicza w Nrze 27 z r. b. zawiera: I. Różne pojęcia zagrożonych interesów, przez dra Antoniego Chiżyńskiego. II. Wskazówki przy wyborze nasion, napisał Karol Filipowicz. III. Budowa stodół, przez M. Zajączkowskiego. IV. Listy o owczarstwie, przez Wacława Łuszczewskiego. V. Pogadanki rolniczo-mechaniczne, napisał prof. T. Rylski. VI. Wystawa koni, przez Stanisława Rewieńskiego. VII Listy z Gub. Mińskiej, przez Aleks. Jelskiego. VIII. Przegląd polityczny. IX. Wiadomości bieżące. X. Rozmaitości. XI. Bibljografja i krytyka. XII. Kurjer rolniczy. XIII. Odcinek zawiera: Moje gospodarstwo. Nowella gospodarska, przez Sewera.

Nauka.

*** Rektorem uniwersytetu jagielońskiego na rok przyszły obrany został profesor wydziału lekarskiego dr. Maurycy Madurowicz.

*** Rektorem lwowskiej politechniki wybrany został na rok 1880—81 profesor mechaniki Jan Nepomucen Franke.

*** W uniwersytecie czerniowieckim wybrany został na rok szkolny 1880—81 rektorem profesor teologji Euzebiusz Popowicz.

*** Wielka rada kantonu Bazylei uchwaliła 63 głosami przeciw 39 bezpłatne nauczanie we wszystkich publicznych zakładach naukowych, począwszy od szkoły ludowej a skończywszy na uniwersytecie.

*** W paryzkich zakładach p. Feil odlana została w ostatnich czasach soczewka z tak zwanego szkła koronnego dla obserwatorjum pulkowskiego, ważąca 195 kilogramów. Odlew do ostygnięcia potrzebował trzech tygodni. Wkrótce też odlaną będzie w tych zakładach soczewka flintglasowa, wagi 220 kilogramów, której ostygnięcie zajmie około pięciu tygodni.

Sztuki Piękne.

*** Józef Wieniawski wystąpił w tych czasach w kilkunastu zbiorowych koncertach w londyńskiej „St.-Jamess Hall.“

*** Sarah Bernhardt zawarła kontrakt z p. Habay, dyrektorem „Booth's Theater“ w Nowym Yorku, pod następującemi warunkami.

Artystka obowiązaną jest do 100 wystąpień, ale w razie nadzwyczajnego powodzenia impressario ma prawo do zwiększenia tej liczby.

Za każde wystąpienie artystka otrzyma stałej zapłaty 2,500 franków; oprócz tego trzecią część dochodu brutto, jeżeli wyniesie on do 15,000 franków, jeżeli zaś dochód przejdzie tę cyfrę, to od superaty Sarah Bernhardt bierze już połowę.

Dyrektor płaci koszta podróży, mieszkanie, pożywienie etc. za artystkę i za trzy osoby, które ona zabiera ze sobą.

Ponieważ język francuski nie jest dość rozpowszechniony w Ameryce, sztuki, w których Sarah Bernhardt ma występować, przełożone zostaną na język angielski i wydane osobno w ozdobnej okładce, której rysunek ułoży artystka, za co otrzymuje połowę zysku ze sprzedaży książek.

Wystąpienia będą się odbywać sześć razy na tydzień.

Za ranne przedstawienia, jeżeli artystka weźmie w nich udział, otrzyma ona osobne wynagrodzenie w stosunku powyżej wymienionym.

Artystka otrzyma z góry 100,000 frank., a 200,000 franków będą złożone przez impresaria u notarjusza jako kaucja dotrzymania umowy.

Oprócz tego, ponieważ wystąpienia w Ameryce trwać będą najwyżej pół roku, Sarah Bernhardt zawarła kontrakt z pp. Hollingshead i Meyer w Londynie

Zagwarantowali jej oni dać za 15 wystąpień 50,000 franków

To wszystko razem wziąwszy przyniesie Sarze Bernhardt miljon franków w przeciągu sześciu miesięcy.

*** Figaro donosi, iż amerykańskie towarzystwo zawarło z malarzem Meissonier umowę, według której tenże w przeciągu półtrzecia roku dostarczyć ma za olbrzymiem wynagrodzeniem trzech miljonów franków dwa wielkie obrazy panoramowe: „Paryż podczas wojny“ i „Paryż podczas wystawy“; towarzystwo zamierza z obydwoma temi panoramami objechać całą Amerykę.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W dniach 21. 22 i 23. b. m. lipca, odbędzie się Walne zgromadzenie Towarzystwa pedagogicznego w Drohobyczu, którego szczegółowy program podaliśmy już dawniej.

*** Turniej szachowy.

W Londynie rozgrywa się obecnie nader zajmujący turniej szachowy pomiędzy Rozentalem i Cukiertortem, dwoma najsłynniejszymi dziś graczami a naszymi rodakami.

Wyzwanie wyszło od Rozentala — pomimo szczególnych w swoim rodzaju warunków, przyjął je Cukiertort bez namysłu.

Grają trzy razy w tygodniu; jeżeli wszakże przez trzy dni z kolei temperatura przekracza 77° Fahrenheita (20° Reaumura), natenczas wolno Rozentalowi odroczyć dalszą grę do jesieni.

W czasie obiadu muszą obydwaj gracze pozostawać razem.

Te i tym podobne warunki stwierdzają już nietylko przewidującą wszystko przezorność Rozentala, ale także i znane jego nerwowe usposobienie.

Nagroda wynosi 100 funtów szterlingów, a zwycięża ten, który pierwszy wygra siedm partyj.

W tej chwili zwycięztwo przechyla się na stronę Cukiertorta, wygrał już bowiem pięć partyj, podczas gdy Rozental dopiero jedną...

*** W tych dniach powstała w Warszawie nowa księgarnia pod firmą Stanisława Giejsztora.

*** Po zamknięciu rachunków wystawy prowincjonalnej w Bydgoszczu okazał się deficyt w sumie około 24,000 marek.

*** W Petersburgskim yacht-klubie morskim pewna osobistość przegrała ośm miljonów franków w grę hazardową, zwaną „makao“.

*** Welocypedysta Iwan Smertics przybył do Pesztu po dwudziestodniowej jeździe na welocypedzie z Ostendy; Smertics w czasie swej podróży stracił na wadze ciała dziesięć funtów angielskich.

*** „Daily News“ donosi, iż do spadku po miljonerze angielskim Andrewie Chedwich w Londynie zgłosiło się 400 ubiegających się. Spadek wynosi 175 milonów franków. Zgłaszający się do spadku pretendenci zawiązali towarzystwo akcyjne dla jego wywalczenia.

*** W Glasgowie w tych dniach pod przewodnictwem prezydenta misyj europejskich, W. Budge, odbyła się konferencja szkockich mormonów. Przewodniczący skonstatował, iż liczba wychodźców znowu się znacznie wzmogła. Szkocka prowincja liczy 429 mormonów, pomiędzy tymi 51 starszych, 24 księży, nauczycieli i 18 djakonów.

*** *Skóra alligatora.* Obecnie od 17,000 do 20,000 skór alligatora poddaje się garbowaniu i używa na obuwie, mianowicie w Stanach Zjednoczonych, w Londynie i Hamburgu. Surowego materjału dostarczają alligatory Florydy, a miasto Jack-

sonville we Florydzie jest głównem jego targowiskiem. Świeżo odarte skóry pakują w beczki, napełnione gęstym roztworem soli kuchennej i wysyłają na północ do garbarni, a mianowicie do Bostonu. Tu ulegają one wyprawie przez sześć do ośmiu miesięcy, zanim w handel pójdą. Ze skóry tej robią buty dla mężczyzn i buciki dla dam, przyrządy podróżne, torby, portmonetki, porte-cigares i t. p., wreszcie wszystkie drobne wyroby wielkiej trwałości.

*** *Cukier owocowy ze szmat.* Dziennik Berne Industrielle podaje, że pewna fabryka niemiecka wyrabia dziennie przeszło 25 cetnarów cukru owocowego ze szmat lnianych. Szmaty te, złożone z twardych włókien roślinnych, traktują się kwasem siarczanym, który je zamienia na dekstrynę. Dekstryna przemywa się mlekiem wapiennem i poddaje działaniu kwasu mocniejszego, który ostatecznie zmienia ją na cukier owocowy, z którego wyrabiane być mogą konfitury i galarety. Proces przerobienia ma być bardzo tani, a otrzymywana glukoza zupełnie identyczna z cukrem owocowym. Powstała jednak silna opozycja przeciwko podobnemu wyrobowi cukru z gałganów i bardzo być może, że fabryka ta zostanie przez rząd zabroniona.

*** Błędne przekonanie powszechne. Podczas niedawnego pożaru pralni chińskiej w San Francisco, jedenaście osób, nocujących w niej podówczas, padło ofiarą ognia. Otóż gazety, opisujące ten wypadak, donosiły, że z położenia, w jakiem spalone ciała znaleziono, wnioskować można o strasznych przedśmiertnych mękach nieszczęśliwych. Amerykańscy tedy fizjologowie i lekarze dziwią się, jak reporterowie i redaktorzy, którzy, jakby się zdawało, powinni posiadać pewne choćby ogólne pojęcie o wiedzy przyrodniczej, mogą rozgłaszać i utrwalać podobnie błędne mniemania. Można być zupełnie pewnym, że w ogóle każdy człowiek, ginący podczas snu w płonącym budynku, dusi się i ginie bez cierpień, zanim się obudzi i zanim płomień go dosięgnie. Każdemu przecież wiadomo, co się staje, jeśli ktoś kładzie się spać, mając obok siebie fajerkę z rozżarzonymi węglami, albo zadmuchnąwszy płomień gazowy bez zakręcenia kurka. Śpiący w takich warunkach oddycha zatrutem powietrzem, działającem jako środek znieczulający i wywołującem szybko odrętwienie a następnie i śmiertelną śpiączkę, z której nie ma przebudzenia. Osoby więc śpiące w płonącym domu, duszą się od wyziewów węglowych, zanim ogień do nich dojdzie. Ciała podobnych ofiar, czy ich szczątki, znajdowane bywają nie na środku izby lub na schodach, jakby to być musiało, gdyby się obudziły i starały ocalić ucieczką, ale w łóżku, lub na miejscu przez łóżko zajmowanem, w takiej samej pozycji, w jakiej śpiąc zostawały. Niesłychanie rzadko trafiają się wypadki dowodzące, że zbudzony człowiek chciał się ratować. Wyobrażenie strasznych cierpień przy spaleniu żywcem jest tak okropne, że niepotrzebnie jest niem się rozczulać z rzekomej litości dla ofiar. Lżejszem podobno i łatwiejszem do zniesienia i dla krewnych i przyjaciół spalonej ofiary będzie przekonanie, że zgon jej nastąpił bezwiednie dla niej, że śmierć weszła cicho do komnaty śpiącego i zabrała go bez przebudzenia.

Odkrycia i wynalazki.

*** We wsi Łodzanie, w powiecie łaskim, wieśniak wyorał w polu garnek, zawierający przeszło tysiąc sztuk starej monety.

Pieniądze te pochodzą przeważnie z XVI. wieku, choć trafiają się i z XV. stulecia.

Napisy wszystkie dobrze zachowane.

Całe wykopalisko odesłane zostało do komisji archeologicznej w Petersburgu.

*** W Nrze 207 francuskiego czasopisma „La France industrielle" spotykamy wiadomość o wynalazku naszego ziomka, inżyniera pana Ignacego Nowickiego.

Wynalazek dotyczy ogrzewania maszyn parowych elektrycznością.

Dziennik wspomniany pisze:

„Pan Nowicki w patencie na swój wynalazek z dnia 13. grudnia 1879 roku projektuje zastąpienie elektrycznością obecnie używanego sposobu opalania maszyn parowych.

W tym celu umieszcza on na obydwóch końcach cylindra dwie sfery metaliczne ogrzewane elektrycznością.

Ciepło wywiązuje się przez zetknięcie się dwóch prądów elektrycznych; prądy schodzą się w każdej sferze.

Węgle umieszczone są na końcach prądów; wodę wprowadza się dwoma kurkami umieszczonymi w górnej części i na obydwóch końcach cylindra, a to w taki sposób, iżby padając na sferę, przekształcała się w parę.

Kurki te stoją w ścisłej zależności od przyrządu osobnego, który sprawia, że podczas gdy jeden jest otwarty, drugi jest zamknięty, i odwrotnie.

W dolnej części cylindra znajdują się drugie dwa kurki, którymi odchodzi para i woda; również i te kurki zależą od przyrządu, sprawiającego, iż kurki otwierają się i zamykają naprzemian.

System pana Nowickiego, jak to widać z przytoczonych danych, czyni zbytecznym kocioł, ponieważ woda zamieniałaby się w parę w samym cylindrze wskutek ciepła elektrycznego, wytwarzającego się na dwóch sferach metalicznych, umieszczonych w cylindrze.

Byłoby to wielkiem uproszczeniem w konstrukcji; nadto, możnaby przenosić ogniska, wytwarzające parę, bez trudu i szybko.

Nakoniec system pana Nowickiego pozwoliłby korzystać z siły przyrody, jak wodospady, kaskady szybkie prądy rzeki, wiatry itd.

W przypadkach, w których sił tych nie możnaby użyć za motor, z przyczyny jakichkolwiek przeszkód, ustawionoby maszynę wytwarzającą elektryczność, i za pomocą drutów metalicznych przenosiłoby się gorąco do cylindra poruszającego, umieszczonego nawet w wielkiej odległości.

System ten wreszcie usuwałby koszta materjałów opałowych."

*** Szkocki inżynier górniczy Wilsen wynalazł przyrząd, który ma wykrywać obecność gazów zapalnych w kopalniach węgla. Działanie aparatu na tem polega, iż zapalne gazy są gatunkowo lżejsze, niż powietrze atmosferyczne. Szkockie towarzystwo górnicze, po zbadaniu instrumentu, wydało pochlebne o niem zdanie.

*** Na wybrzeżach Sycylji odkryto wielką ławę koralową; wzięto się już energicznie do eksploatowania tej nowej ławy, o wiele większej od odkrytej przed pięcioma laty w tej okolicy.

*** Ogrzewanie wagonów we Francji i u nas odbywało się dotąd za pomocą wstawiania do przedziałów żelaznych blaszanek, napełnionych gorącą wodą, na trzy mniej więcej stopy długich, sześć cali szerokich i cztery cale wysokich. Obecnie towarzystwo kolei żelaznej Paryż-Lyon-Marsylja próbuje nowego sposobu ogrzewania pociągów kurjerskich.

Sposób ten pomysłu pana Anselina, inżyniera, polega na użyciu octanu sodu w owych blaszankach. Związek ten, rozpuszczając się przy pewnej temperaturze, pochłania dużo ciepła, które uwalnia z siebie stygnąc i krystalizując. Wszystko to osiąga się przez napełnianie blaszanek odpowiednią ilością octanu, zamknięcie ich szczelne i umieszczenie w piecu ogrzanym blisko na 100°. Stygnięcie blaszanki w ten sposób napełnionej i ogrzanej, trwa przez dwanaście do piętnastu godzin. Po upływie tego czasu blaszanki wyjmują się z wagonów i znowu umieszczają w piecu, gdzie kryształy octanu sodu napowrót się rozpuszczają, a blaszanki są do ponownego użycia. Korzyści podobnej metody ogrzewania są oczywiste — nie potrzeba bowiem zmieniać blaszanek co dwie lub trzy godziny i zatrudniać tem licznej służby na stacjach, oszczędzać na materjale opałowym itp. Dotychczasowe blaszanki mogą być użyte. Octan sodu nie jest drogim związkiem, a łatwo da się otrzymywać w większej ilości, skoro się żądania nań zwiększą. Ogrzewania takiego próbowano na pociągu kurjerskim Nr. 5ty, wyszłym z Paryża o godzinie 7mej minut 15 i przybyłym do Perrache o godzinie 4tej minut 31. Przedziały zaopatrzone były przy odjeździe każdy w dwie blaszanki z octanem sodu. Większa ich część w Perrache była jeszcze tak gorąca, że parzyła przy dotknięciu. Z Lyonu do Marsylii pociąg był ogrzewany zwykłym sposobem.

*** Budulec Bawełniany i drzewo sztuczne. Ameryka jest ojczyzną wynalazków niespodziewanych. Jednym z najnowszych i wielce ciekawych jest budulec bawełniany i drzewo sztuczne. Amerykanie będą stawiali teraz domy z bawełny. Wynalazek ten uzyskał już patent i wypróbowany został z zupełnem powodzeniem. Materjałem na domy jest bawełna zielona niższego gatunku, kłaki bawełniane rozrzucone na polu, wszelkie odpadki w przędzalniach, wszelkie wreszcie szmaty bawełniane nieużyteczne dla papierni. Z tego wszystkiego robi się masa jednorodna nabierająca twardości kamienia. Budulec ten bawełniany pokrywa się z wierzchu pokostem, nieprzepuszczającym wody. Obecnie dla wybudowania domu z bawełny, potrzeba będzie dwa razy krótszego czasu, aniżeli z cegły. Dom taki bezpieczny jest od ognia, mocny jak z cegieł a trzy razy tańszy.

Wiązania dachowe będą ze słomy pszennej. Drzewo to sztuczne, niezmiernie twarde, otrzymuje się w taki sposób: Słoma przerabia się najprzód na arkusze tektury zwykłym papierniczym sposobem. Arkusze jej w stosach traktują się pewnym roztworem, nadającym twardość włóknu. Następnie przepuszczają się przez szereg walców, które zlepiają je w istne drzewo. Działanie chemiczne, jakiemu ono ulega, robi je nieprzemakalnem i trudno zapalnem. Drzewo stolarskie otrzymuje się również z tektury niewiele różniącej się od poprzedniej, jest tylko nieco mniej twarde. Nadaje się zaś do wszelkich robót stolarskich, daje się rżnąć piłą, heblować, przebijać, kleić, łupać, rzeźbić, zupełnie jak zwykłe drzewo, ogrzewane giąć się pozwala i urabiać w najrozmaitsze kształty. Barwy i politura przystają doń doskonale i są trwalsze niż na drzewie. Drzewo takie tekturowe nie czułe jest na zmiany temperatury; wystawione na słońce czy deszcz nie paczy się ani pęka.

Podróże.

*** „Podróżnik polski". Do szczupłego grona uczonych polskich, odbywających podróże w celach naukowych, należy zaliczyć p. J. Rivolego, b. redaktora pisma »*Przegląd leśniczy,*« które wychodziło w Poznaniu.

Pan R. podróżował ostatnio po Norwegji i Portugalji.

W kwietniowym zeszycie znanych *Mittheilungen* Petermana znajdujemy nader ciekawą pracę p. Rivolego p. t. »*Die Serra da Estrella*«.

Jestto zdanie sprawy z podróży p. R. po tych górach portugalskich.

Podróżnik zwracał głównie uwagę na roślinność i poczynił wiele botanicznych odkryć.

*** *Pułkownik Przewalski.* Ku wielkiemu zadowoleniu miłośników badań geograficznych, otrzymano w Petersburgu przez Pekin list od pułkownika Przewalskiego pisany 20. marca z miasta Si-Ning, donoszący, że wyprawa pod jego kierownictwem zostająca, uniknęła wszelkich niebezpieczeństw. Opuściła ona w lipcu góry Nan Shianu i przez Saidask weszła do Tybetu. Tu napadniętą została przez bandę Tangutów, której zabiła czterech ludzi a resztę zmusiła do ucieczki. Wojska jednak tybetańskie powstrzymały dalszy jej pochód na 250 wiorst przed Hlasą, a posłaniec od wielkiego lamy tybetańskiego przyniósł od władz miejscowych zabronienie posuwania się dalszego. Rosjanie więc cofnąć się musieli przez Tybet północny, co ich nie mało trudów kosztowało przy zimowaniu na wzniesieniu 16.000 stóp nad poziomem morza. Podróżnik spodziewa się w sierpniu przybyć do Kiachty idąc na Alaszan-Urgu.

*** Prawie wszystkie okręty, które w zeszłym tygodniu wypłynęły z Europy do Nowego Yorku doniosły, iż w drodze napotkały góry lodowe, niektóre z nich olbrzymiej wielkości; kapitan barki austrjackiej zawiadamia, iż jeden z lodowców długi był na 5 kilometrów, szeroki na 1800 metrów a miejscami wysokość jego wynosiła do 30 metrów.

*** *Towarzystwo geograficzne paryzkie* wybrało na prezesa swego w 1880—1881 roku, p. wiceadmirała de la Ronciere-le-Nourry; vice-prezesami p. A. Milne-Edwardsa z Instytutu i półkownika Lanssedat. Szesnastego kwietnia Towarzystwo odbyło pierwsze swoje zebranie ogólne w 1880 roku. Posiedzenie to poświęconem szczególniej było na rozdanie nagród przyznawanych corocznie przez Towarzystwo podróżnikom i badaczom. Przewodniczył na tem posiedzeniu vice-admirał La-Ronciere-le-Nourry, który powitał przedewszystkiem p. Lessepsa wracającego z Ameryki i znajdującego się na estradzie wśród członków komitetu. Przystąpiono nareszcie do rozdania nagród. Wielki medal złoty przyznano, jak wiadomo p. Nordenskjöldowi. W imieniu nagrodzonego medal odebrał poseł szwedzki, dziękując za nieobecnego ziomka. Medal złoty otrzymał p. J. Crevaux za badania swoje w Gujanach i na Amazonce (1876—1879) o których wspominaliśmy niejednokrotnie. Nie przepomniano też i o Apatu, wiernym i gorliwym negrze p. Crevaux. Prezydujący oświadczył, że towarzystwo geograficzne obmyśli sposoby okazania mu swego uznania za poczciwe i pełne poświęcenia usługi jego. Po raz to pierwszy coś podobnego się zdarza.

Trzeci medal przyznano misjonarzowi francuskiemu księdzu Desgodins, za jego badania na granicach Tybetu (1855—1879.) Ponieważ do odebrania medalu nikt się nie stawił w jego imieniu, doręczenie przeto nastąpić nie mogło

Na zakończenie posiedzenia p. Lesseps podał kilka szczegółów z podróży swojej do Stanów Zjednoczonych. Jako dowód serdeczności, z jaką go wszędzie przyjmowano, przytoczył, że w ciągu długiej tej podróży, wynoszącej około 2000 mil geograficznych, nie chciano od niego, ani od jego współtowarzyszów, przyjąć żadnej zapłaty za przejazd kolejami żelaznemi, parowcami i t. p. Stowarzyszenia robotników chciały nawet podejmować go i fetować własnym kosztem.

Nazajutrz p. Lesseps miał w Sorbonnie odczyt w obec ciekawej a gorącej publiczności. Na długo przed posiedzeniem nie podobna już było znaleźć miejsca i mnóstwo osób posiadających bilety nie dostało się do sali i musiało na korytarzach poprzestać na słyszeniu oklasków jedynie, jakiemi obsypywano preleganta.

P. Lesseps, któremu w podróży na międzymorze towarzyszyło dwunastu inżynierów i 150 robotników, doszedł do przekonania, że przekopanie kanału odkrytego pomiędzy zatokami Panama i de Limon jest rzeczą możliwą a względnie łatwą do wykonania. Pod względem klimatu, Ameryka środkowa była spotwarzoną niesłusznie. W ciągu podróży obecnej nikt nie chorował, a bardzo poważne badania na miejscu przeprowadzone dowodzą przeciwnie, że niektóre choroby, jak ospa naprzykład i żółta febra, szybko ustają, kiedy przeniesione zostaną do Panamy. Ztąd też kwarantanny są tam nieznane.

Co się strony technicznej tyczy, zdaje się że kierunek kanału, który ściśle trzymać się będzie kierunku drogi żelaznej, wszędzie napotka pokłady sypkie, łatwo dragować się dające. Jedno tylko wzniesienie na granicy rozdziału wód, przebijać wypadnie, ale wzniesienie to stanowią dość miękkie skały, a materjał z rozkruszenia ich powstały przyda się bezpośrednio na zbudowanie tamy, koniecznej w jednym punkcie do powstrzymania wezbranych wód, które bez podobnej zapory niebezpiecznemi stałby się mogły. Tama ta zresztą bedzie mniejszą od podobnych tam istniejących już we Francji, w Hiszpanji i w Belgji; nie nastręczy więc żadnych poważnych trudności. Opinja publiczna w Stanach Zjednoczonych jest stanowczo przychylną budowie kanału, rząd więc tamtejszy mięszać się nie zechce ani do jego wykonywania, ani do przyszłej używalności. Potrzeba może będzie zbiorowego porozumienia się państw wszystkich co do uznania neutralności kanału; z tem wszystkiem, pod tym względem żadna zdaje się przeszkoda zajść nie może. Ostatecznie kanał Panamski jest sprawą wykonalną, potrzeba do tego jednej niezbędnej rzeczy — mnóstwa pieniędzy!

Ferdynand Lesseps.

W jednym z wydanych niedawno zbiorków biografii współczesnych znakomitości, znajdujemy wielce zajmującą sylwetkę Ferdynanda Lessepsa, z której też dla naszych czytelników wybieramy kilka szczegółów.

Ferdynand Lesseps, twórca kanału suezkiego, jest bowiem znów, pomimo ciążących mu na ramionach lat 70, na porządku dziennym pięciu części świata.

Rozerwawszy kawałek Afryki, myśli on obecnie o dwóch nowych olbrzymich pracach, o kolei trans-atlantyckiej i przecięciu na pół kanałem panamskim — Ameryki.

To ostatnie przedsięwzięcie bodaj, że obiecuje rychłe urzeczywistnienie.

O Lessepsie to rzekł jeden z przyjaciół:

— Poczekajcie, niechno on tylko pożyje, a zobaczycie, że zbuduje jeszcze dokoła kuli ziemskiej wspaniały bulwar, wykładany brukiem granitowym i oświetlany gazem, na który narody wychodzić będą co dzień między 4tą a 5tą pić czarną kawę i absynt...

Jeżeli chcecie ujrzeć tego Tytana, udajcie się na trzecie piątro jednego z domów przy ulicy Richepanse, zapukajcie, a gdy wam otworzą — bo Lesseps jest jedną z najdostępniejszych znakomitości — ujrzycie przed sobą człowieka niewielkiego wzrostu, żywego, o czarnych jak węgiel oczach, czarnej brodzie i wąsach, głowie posiwiałej i cerze spalonej przez afrykańskie słońce

Będzie to — on.

Przyjmie was, jak nie można gościnniej, wprowadzi do skromnego gabinetu, w którym przecież powstawały plany kanału suezkiego i zasiądzie z wami u biurka, do którego ciągną i ciągnęli najznakomitsi inżynierowie, przedsiębiorcy, dyplomaci, a nieraz nawet głowy koronowane.

Nie myślcie jednak, abyście mogli z nim porozmawiać swobodnie.

Jeżeli nie przeszkodzi wam jaki pilny interesant, to wkroczy banda malców, dzieci twórcy kanału suezkiego, które wpadają na stoły i krzesła, przeszkadzają waszej rozmowie — i bawią się ze swym ukochanym ojczulem.

Możnaby mniemać, że ojciec ich jest — ich dziadkiem.

P. Lesseps wychowywa swe dzieci w sposób dość szczególny, po spartańsku; chodzą one zawsze boso i po za pracą umysłową mają wszelką swobodę ćwiczeń fizycznych.

Sam zresztą inżynier zajmuje się niemi w najdrobniejszych szczegółach.

Między innemi, jednemu z malców zrobiła się na ręku krosta, którą trzeba było przeciąć.

Lesseps uzbroił się sam w lancet, a gdy żona obecna przy operacji, wyrażała wątpliwość co do jego zręczności, odrzekł:

— Boisz się! ależ ja przeciąłem Suez, a nie miałbym przeciąć krosty..?

Lesseps jest wiecznie młodym, bez niego niema żadnej zabawy ani wycieczki, ale też każdą zabawą w której bierze udział, zamęcza wszystkich..

Niczem jest dla niego, gdy od czasu do czasu przybywa do swego zamku de la Chenaie, w departamencie Indre, dnie całe polować i pędzić po polach, lasach, ażeby wieczorem — dla odpoczynku — urządzić suty, późno w noc trwający balik wiejski.

Dzielność jego przydawała mu się zresztą w życiu.

Podczas pierwszej swej podróży do Egiptu z trudnością udawało mu się skłonić vice-króla do przyjęcia w zasadzie projektu, a szczególnie przeszkody stawiała mu rada królewska.

Raz Lesseps osiodłał swego karego konia i pojechał do obozu vice-króla.

Jenerałowie znajdowali się w tej chwili na naradzie poza murem wysokim na dwa metry; otóż Lesseps lotem ptaka przeskoczył przez mur, co zrobiło wielką sensację.

— Kto tak umie przeskakiwać mury, ten musi być mądry — rzekł jeden z najstarszych jenerałów.

Zabicie w locie orła utwierdziło ich jeszcze w dobrem mniemaniu o inżynierze — i pozwolenie zostało uzyskane..

Gdyby nie ten strzał — kto wie! możeby do dziś dnia jeszcze kanał Suezki był tylko marzeniem...

Lesseps z przyjemnością opowiada o tym fakcie zarówno jak i o wszystkich innych trudnościach i przeszkodach, które co rana oczekiwały go w ciągu lat dwudziestu; zresztą przeszkody te umiał usuwać jeśli nie siłą, to łagodnością i sympatją, którą sobie powszechnie skarbił.

W ostatniej chwili otwarcia kanału Suezkiego Lesseps musiał działać z potężną energją.

Na dzień przedtem tonie okręt i zagradza drogę, dalej wybucha pożar, wreszcie przychodzi wiadomość, że w sam środek kanału wpadła olbrzymia skała; pomimo to Lesseps na projekta odłożenia otwarcia kanału odpowiada:

— Macie jeszcze dynamit do wyrzucenia w powietrze okrętu; woda ugasi płomienie; są jeszcze tysiące ludzi i windy do podniesienia skały — czego wam więcej potrzeba?

Roboty zarządzono.

„Wyobraźcie sobie — opowiadał później dzielny ten człowiek — rano w dniu otwarcia nic jeszcze nie wiedziałem o rezultacie robót, a tu okręt „Orzeł,“ na którym się znajdowała cesarzowa Eugenja, wszedł już w kanał.

„Najmniejsze poślizgnięcie się dałoby powód wszystkim moim nieprzyjaciołom do podniesienia głosu, a zresztą byłaby to kompromitacja wobec najpierwszych książąt Europy..

„Umówiłem się z kurjerem, płynącym na małym *aviso*, ażeby spotkał flotę i stanąwszy na przedniej części statku, skrzyżował ręce w razie, jeśli droga będzie wolna.

„Oczekiwałem na górnym pokładzie „Orła“ zapytując przestrzeń — nagle okazał się *aviso*... Przyłożyłem lornetkę ruchem gorączkowym do oczu — patrzę — kurjer ma ręce zwieszone... Zadrżałem! Nagle powoli podniósł je — i skrzyżował...

„Nikt, oprócz wicekróla i kilku inżynierów, nie wiedział o przeszkodach. Nie mówiąc nic, zeszedłem z pokładu, wypiłem szklankę wody i rzuciwszy się w fotel, zasnąłem... Spałem tak dwie godziny — aż dopiero obudził mnie głośny okrzyk „hurra.“

— Obudzono pana? — zapytała cesarzowa, która w tej chwili mnie spostrzegła — a jednak pan spisz mocno...

— Dwadzieścia lat tak nie spałem!! — odrzekłem.

Dodać trzeba, że Lesseps od wszystkich głów koronowanych uczestniczących w otwarciu kanału otrzymał wspaniałe dary i dekoracje honorowe.

Mieszkanie jego pełne jest prześlicznych osobliwości, które otrzymał różnemi czasy w podarunku lub kupił w ukochanym swym Egipcie, dokąd jeździ z taką łatwością, jak mieszczuch — na letnie mieszkanie...

Treść Nr. 28.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.